

wspomnienia „Jasieńczyka”

Drezno – zagłada miasta

KOMBATANT

BIULETYN HISTORYCZNY Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych
NR 01(409) STYCZEŃ 2025

ISSN 0867-8952

1945
2025
1945
2025
1945
2025

80. rocznica wyzwolenia Auschwitz



KOMBATANT

BIULETYN HISTORYCZNY
URZĘDU DO SPRAW KOMBATANTÓW
I OSÓB REPRESJONOWANYCH

ISSN 0867-8952

nr 01(409) styczeń 2025



dołącz do nas na facebooku i na X

[www.facebook.pl/udskior](https://www.facebook.com/udskior)
<https://x.com/Kombatanci?mx=2>

Redakcja:

ul. Wspólna 2/4, 00-926 Warszawa

Redaktor naczelny:

Katarzyna Zientara-Majewski
e-mail: katarzyna.zientara@kombatanci.gov.pl

Opracowanie graficzne: Hanna Sater

Korekta: Norbert Nowotnik

Archiwalne numery „Kombatanta”

dostępne są na stronie www.kombatanci.gov.pl



Partnerem Projektu jest
Narodowe Archiwum Cyfrowe

Wydawca:

Urząd do Spraw Kombatantów
i Osób Represjonowanych
ul. Wspólna 2/4, 00-926 Warszawa
punkt informacyjny tel. 22 276 77 77
www.kombatanci.gov.pl

Druk: Centrum Obsługi Administracji Rządowej
ul. Powsińska 69/71, 02-903 Warszawa

Nakład: 3500 egz.



FOT. EAST NEWS

w numerze

4 80. rocznica wyzwolenia Auschwitz – „W końcu czuliśmy się wolnymi ludźmi”

Paradoks sprawił, że żołnierze będący formalnie przedstawicielami totalitaryzmu stalinowskiego, przynieśli wolność więźniom totalitaryzmu hitlerowskiego

Katarzyna Krzykowska

8 Czekaliśmy na rozkaz... Witold Pilecki i polski ruch oporu w Auschwitz

Doświadczył piekła na ziemi, widział upadek człowieczeństwa, kilkakrotnie dosłownie otarł się o śmierć, a to wszystko... na własną prośbę

Wademar Kowalski

13 Superjednostka – Bolesław Burski

Rozmowa z Anną Wójcik, kierownik Archiwum Państwowego Muzeum na Majdanku, inicjatorką publikacji i redaktorką naukową wspomnień „Jasieńczyka”

Katarzyna Zientara-Majewski

18 Zagłada miasta w karnawale

Drezno na początku 1945 roku, w porównaniu z innymi niemieckimi miastami jawiło się jako oaza spokoju. Wprawdzie stolicy Saksonii nie omijały alianckie bombardy, ale mimo wszystko drezdeńscy mogli wierzyć, że opaczność nad nimi czuwa. Żyli złudzeniem...

Piotr Korczyński

22 Sportowcy w czasie II wojny światowej

Po wybuchu wojny wielu sportowców zaangażowało się w działalność państwa podziemnego, odkładając własne marzenia na bok. Podjęli nierówną walkę, zamieniając areny sportowe na działalność konspiracyjną

Dorota Gałaszewska-Chilczuk

25 Początki polskiej kinematografii

Szybko zorientowano się jak wielkie możliwości społecznego oddziaływania niesie ze sobą kinematografia. Powstawały nowe filmy, kina i wytwórnie. Z czasem zaczęto także myśleć o utworzeniu pierwszej polskiej szkoły filmowej

Mateusz Wyderka

28 Jak „Solidarność” walczyła o pluralizm w mediach

Przez dekady media – Polskie Radio i Telewizja Polska, pozostawały pod pełną kontrolą Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Były również jej tubą propagandową

Grzegorz Majchrzak

Narodowy Dzień Pamięci Żołnierzy Armii Krajowej

Już niebawem, bo 14 lutego obchodzić będziemy rocznicę przemianowania Związku Walki Zbrojnej na Armię Krajową. Jest to symboliczna data utworzenia jednej z największych armii podziemnej okupowanej Europy, która skupiła w swych szeregach pełen przekrój polskiego społeczeństwa.

Wsluchając się w postulaty środowisk kombatanckich podjęliśmy starania mające na celu ustanowienie 14 lutego Narodowym Dniem Pamięci Żołnierzy Armii Krajowej. Pragniemy, aby zbliżająca się rocznica uzupełniała katalog świąt państwowych i stała się szczególnym wyrazem pamięci o bohaterstwie kobiet i mężczyzn spod znaku „Polski Walczącej”. Efektem naszych działań jest uchwalona w Sejmie i Senacie stosowna ustawa.

Z radością przyjąłem więc inicjatywę posłów Koalicji Obywatelskiej oraz ponadpartyjną zgodę wszystkich parlamentarzystów, co do zasadności przedłożonego projektu. Ustawa została przyjęta przez aklamację – zarówno w Sejmie, jak i Senacie. Kolejny raz przekonujemy się, że wielka spuścizna moralna podziemnego Wojska Polskiego nie zaginęła i trwa nieprzerwanie w naszej świadomości aż do dziś.

Stawiając dobro wspólne ponad własne interesy osiągać możemy wspaniałe rezultaty. Wzorców takiego postępowania szeregi Armii Krajowej dostarczyły nam bez liku. Generał Kazimierz Sosnkowski scharakteryzował wojenne zasługi AK słowami: „to jeden wielki epos żołnierski, jedna wielka bitwa Narodu walczącego z najazdem o przyszłość, całość, niepodległość i wielkość Polski”.

Ufam, że zbliżająca się rocznica przemianowania Związku Walki Zbrojnej na Armię Krajową stanie się pierwszym upamiętnieniem tego wydarzenia w ramach nowo ustanowionego święta państwowego.



Lech Parell

*Szef Urzędu do Spraw Kombatantów
i Osób Represjonowanych*



FOT. PAP

TEKST | Katarzyna Krzykowska

80. rocznica wyzwolenia Auschwitz

„W końcu czuliśmy się wolnymi ludźmi”

„To była radość! Nie da się tego opisać. Po tym wszystkim, w końcu czuliśmy się wolnymi ludźmi”; „Dali mi pajdę chleba z margaryną. Jej smak do dziś pamiętam”; „Rzucaliśmy się im na szyję z okrzykami radości, z łóżek podnosiły się piszczele rąk” – w taki sposób więźniowie niemieckiego obozu Auschwitz opisywali 27 stycznia 1945 roku, dzień w którym żołnierze Armii Czerwonej otworzyli bramy obozu.

27 stycznia 1945 roku żołnierze 60. armii Pierwszego Frontu Ukraińskiego wkroczyli do Auschwitz, niemieckiego obozu koncentracyjnego i zagłady. Wyczerpani więźniowie, których było jeszcze ok. 7 tys. – w tym pół tysiąca dzieci – witali ich jako wyzwolicieli.

Paradoks sprawił, że żołnierze będący formalnie przedstawicielami totalitaryzmu stalinowskiego, przynieśli wolność więźniom totalitaryzmu hitlerowskiego. – *Niemożliwe jest do opisanie w ludzkich słowach spotkanie uwiezionych, uratowanych od pewnej śmierci z ich wyzwolicielami* – pod-

kreśliła Regina Grimberg, francuska Żydówka, członkini ruchu oporu w okupowanej Francji („Ostatnie dni obozu Auschwitz” Andrzej Strzelecki).

Dr Irena Konieczna, która była lekarką w szpitalu obozowym wspominała, że na kilka dni przed wejściem żołnierzy radzieckich „w obozie pano-

wała całkowita anarchia”. – *Nikt nikogo nie słuchał, nie respektowano więźniarek funkcyjnych. Nie wynoszono z bloków zwłok i nie sprzątno nieczystości. Więźniarki domagały się opieki i żywności, nie było jednocześnie wystarczającej liczby osób chętnych do usług. Niektórym więźniarkom udało się przynieść z magazynów esesmańskich nieco produktów żywnościowych, z których starano się sporządzić gorące posiłki* – opisywała.

Zapamiętała, że w dniach „bezkrólewia” miały miejsce rozgrywki osobiste między więźniarkami. – *O ile się*

czas potem wjechał przed bloki wojskowy tabor konny. Gdy żołnierze radzieccy zorientowali się w naszej sytuacji, zaopatrzyli nas w żywność pierwszej jakości (doskonały chleb wojskowy z foremek, suchary i tłuszcz naturalny). W dzień lub w dwa dni potem zjawili się kilku pięknie zbudowanych i ubranych w czyste, białe, długie kozuchy oficerów radzieckich, którzy przeprowadzili dokładny zwiad co do naszych potrzeb – powiedziała dr Konieczna.

Tova Friedman, podczas wyzwolenia obozu 6-letnia dziewczynka, pod-

rze otworzyli bramę, a wtedy rozległy się okrzyki powitania. Część więźniów tańczyła, napędzana adrenaliną i poczuciem, że wbrew wszelkim przeciwnościom udało im się uniknąć zagłady. Kobiety rzuciły się naprzód i całowały żołnierzy w policzki. Tak samo robili niektórzy mężczyźni. Inni padli na kolana i obsypywali pocałunkami buty rosyjskich zwycięzców – opisywała Friedman w książce „Byłam dzieckiem z Auschwitz”.

Anna Stachowiak, która w 1945 roku również była dzieckiem, opowiadała, że gdy wkroczyli Sowieci, my-



FOT. PAP

orientuję, dochodziło do ostrych starć słownych, a nawet rękoczynów między niektórymi więźniarkami. Sama nawet skłoniłam jedną ze współwięźniarek, której zagrażało niebezpieczeństwo, do natychmiastowego opuszczenia obozu. Wiem, że w okresie „bezkrólewia” szereg więźniarek opuściło obóz, udając się pieszo w swoje strony – wspominała.

Relacjonowała, że „27 stycznia na teren obozowego szpitala żeńskiego weszło kilku żołnierzy radzieckich – zwiadowców – z karabinami gotowymi do strzału”. – *Więźniarki rzuciły się uradowane w ich stronę. W jakiś*

kreśliła, że 27 stycznia traktuje jako swoje drugie urodziny, ponieważ „był to pierwszy dzień reszty jej życia”. – Gdy słońce zaczęło przygasać, po raz pierwszy zobaczyliśmy naszych wyzwolicieli. Stałam obok mamy przy drutach, patrząc na Bramę Śmierci z czerwonej cegły. Otaczał nas tłum składający się głównie z kobiet, którym starczyło sił, by stać godzinami na mrozie. I chociaż większość z nich przypominała ledwo żywe szkielety, znalazły w sobie dość energii, żeby krzyzczeć, wiwatować i gwizdać. Po raz pierwszy w życiu słyszałam dźwięki tak pełne radości. (...) Żołnie-

Część więźniów tańczyła, napędzana adrenaliną i poczuciem, że wbrew wszelkim przeciwnościom udało im się uniknąć zagłady

śłała, że są ubrani w piżamy, bo tak właśnie kojarzyły się jej białe ochronne ubrania. – Otworzyły się drzwi baraku. Stało ich kilku. Mówili po rosyjsku. Zrozumiałam: „Giermańcow użę niet”. Dzieci wołały, że są głodne. Kobieta, Rosjanka, wyjęła bułkę z kapustą, przełamała i chciała nam dać, ale oficer zabronił. Nie mogłam tego zrozumieć. Dziś wiem, że gdybym zjadła, to skręciłoby mi kiszki. Potem starsze dziewczyny przyniosły trochę mąki i ugotowały kluchy. To było pierwsze jedzenie – opowiadała.

Lidia Maksymowicz, która do Auschwitz przybyła ze swoją mamą w wieku trzech lat, wspominała: *Pamiętam, że do baraku dziecięcego weszli nagle żołnierze z czerwoną gwiazdą na czapkach, a nie ekipa Mengelego, którego panicznie się bałyśmy. Dali mi pajdę chleba z margaryną. Jej smak do dziś pamiętam.*



Wyzwolenia doczekało około 7 tys. więźniów, wśród nich znajdowało się prawie 500 dzieci, w tym ponad 60 urodzonych w obozie FOT. PAP

Przebywający wtedy w szpitalu obozowym w Auschwitz I Jakub Wolman, tak zapamiętał moment wyzwolenia: *To było po południu. Weszło trzech Rosjan. Powiem inaczej. Weszło trzech zwiadowców sowieckich w białych, ochronnych płaszczach, bo przecież była zima. Wyglądali jak jakieś duchy. Trudno opisać ich twarze. Na ich widok z bloków zaczęły wychodzić chorzy, zawinięci w koce. Jak tylko zwiadowcy uwolnili się z objęć witających ich więźniów, wytłumaczyłem im, w jakim miejscu się znaleźli, że postacie owinięte kocami są chorymi więźniami. Jak stwierdziłem, pierwsze oddziały sowieckie podążyły szybko w dalszą drogę.*

Irena Szczypiorska, która w styczniu 1945 roku była zatrudniona w pralni szpitala dla więźniarek opisywała, że o trzeciej po południu przybiegła do niej na blok znajoma Rosjanka z okrzykiem „Irocza, nasi w lagrze”. – Na próżno jednak wyteężałam wzrok we wskazanym przez nią kierunku. Nic nie widziałam prócz śnieżnych zasp. Nagle... tak, jedna z nich poruszyła się wyraźnie. Byli to zwiadowcy

Niemieccy naziści zamordowali w Auschwitz ok. 1,1 mln osób, głównie Żydów, a także Polaków, Romów, sowieckich jeńców wojennych oraz ludzi innych narodowości

w białych kombinezonach. Po entuzjastycznym wybuchu powitań powiedzieli do nas „Idźcie kobiety na bloki, zabierzcie dzieci (...). My tu przyjdziemy jutro” – relacjonowała.

– Przyszli tego samego dnia jeszcze wieczorem. Jeden z nich, ranny, zawołał tylko, żeby mu dać kawałek bandaża, przewiniął ramię i pognął dalej. Wpadali grupami. Rzucaliśmy się im na szyję z okrzykami radości, z łóżek podnosiły się piszczące rąk, przesyłając im całusy. Ale oni nie zatrzymy-

wali się na dłużej. Biegli w ślad za uciekającymi Niemcami. Dopiero 28 stycznia nadeszły większe oddziały Armii Czerwonej. Wprost z wozów brałyśmy chleb – wspominała.

Czeszka Terezie Freundova-Jírová mówiła, że moment wyzwolenia obozu „to była radość!”. – Nie da się tego opisać. Po tym wszystkim, w końcu czuliśmy się wolnymi ludźmi. Tak. Ludźmi! Do tej pory mianowicie mieliśmy od esesmanów „stempel” mniej wartościowych. Mieliliśmy mniej wartości niż bydło – zaznaczyła.

A co zobaczyli żołnierze Armii Czerwonej otwierając bramy Auschwitz? – Naszym oczom ukazał się straszliwy widok: ogromna ilość baraków (w Birkenau) (...). W wielu z nich leżeli na pryczach ludzie. Były to szkielety obleczone skórą, z nieobecnym wzrokiem. Oczywiście rozmawialiśmy z nimi. Rozmowy te były jednak krótkie, ponieważ ci pozostali przy życiu ludzie byli zupełnie pozbawieni sił i z trudnością przychodziło im powiedzieć coś bliższego o swoim pobycie w obozie. Cierpieli głód, byli wycieńczeni i chorzy. (...) Płakały kobiety, płakali także – nie można tego ukryć – mężczyźni... Można powiedzieć, że na terenie obozu stały piramidy. Jedną stanowiła nagromadzona odzież, inną garnki, jeszcze inną – ludzkie szczęki. Wspomnienia stamtąd zachowałem na całe moje życie. To wszystko było najbardziej poruszające i najstraszniejsze, co zobaczyłem i sfilmowałem podczas wojny – tak moment wejścia do obozu opisywał Aleksander Woroncow, były operator radzieckiej wojskowej ekipy filmowej, która sfilmowała wyzwolony obóz.

– Przykro to może mówić, ale dla żołnierza w ataku ciała zabitych to nic wielkiego, napatrzył się na nie przecież. Ale tu było inaczej. Ci ludzie nie zginęli w walce – to było widać. Stos wychudzonych ciał przy ścianie baraku. Śnieg już ich przysypał. A dalej gromada rozstrzelanych. Mężczyźni,

kobiety – wspominał radziecki porucznik Jurij Ilinski, cytowany w książce „Ostatnie dni obozu Auschwitz”.

Dla niego i jego żołnierzy największym przeżyciem było zobaczenie dzieci za drutami. – *Cały tłum dzieci. Od malutkich dwu-, trzyletnich do kilkunastolatków. Wychudzone, obdarte, chore, głodne. Oddawaliśmy im wszystko, co tylko było w żołnierskich plecakach* – opowiadał.

Niemcy rozpoczęli przygotowania do likwidacji Auschwitz w sierpniu 1944 roku. Sukcesywnie ewakuowali więźniów w głąb Rzeszy. Do połowy stycznia 1945 roku wyekspediowali ok. 65 tys. osób, w tym niemal wszyst-

kich Polaków, Rosjan i Czechów. Mimo zbliżania się oddziałów radzieckich Niemcy kontynuowali uśmiercanie Żydów. Komory gazowej po raz ostatni użyli w listopadzie 1944 roku. W ciągu września, października i listopada 1944 roku zgładzono większość więźniów-Żydów zatrudnionych przy obsłudze krematoriów i komór gazowych, jako bezpośrednich świadków eksterminacji. 7 października 1944 roku, podczas powstania więźniów z obsługi krematoriów (Sonderkommando) zginęło ponad 400 Żydów. Kilkudziesięciu członków Sonderkommando zachowano przy życiu aż do ostatecznej likwidacji obozu.

Pod koniec 1944 roku Niemcy palili dokumenty i zacierali świadectwa zbrodni: zasypywali doły z ludzkimi prochami, rozebrali do fundamentów krematorium IV i przygotowali do wysadzenia pozostałe trzy. Zniszczyli je tuż przed opuszczeniem obozu.

Henryk Mandelbaum, były członek Sonderkommando, zeznając w marcu 1947 roku opisał rozbieranie i wysadzanie krematoriów. – *Zabrano się do rozbioru krematoriów. Początkowo kazano [nam] zdejmować dachówki, krokwie, kazano demontować piece, (...) borowaliśmy dziury w ścianach do grudnia 1944 roku. Do tych dziur załadowano opatrunki dynamitowe. Wszystkich nas odesłano na obóz, a wtedy wysadzono to wszystko w powietrze* – relacjonował.

Była więźniarka Auschwitz II-Birkenau, uczestniczka „marszu śmierci” Krystyna Żywulska wspominała, że wszędzie płonęły stopy papierów. – *Na wszystkich odcinkach obozu płoną stopy papierów. Przed blokkführersztubą, SS-mani depcą płonące stopy, dorzucają wciąż nowe dokumenty, listy zmarłych, niszczą wszystko, co świadczyłoby o prawdzie* – opisywała.

Wychodząc z obozu kobiety śpiewały: „Żegnaj, straszny Oświęcimie i ty, koszarne Birkenau. W twych barakach pustych w zimie wiatr żalśnie będzie wiał”.

Ostatni apel w KL Auschwitz odbył się 17 stycznia 1945 roku. Stańdo do niego 67 012 więźniarek i więźniów, w tym w obozie Auschwitz I i Auschwitz II-Birkenau 31 894, a w podobozach 35 118 osób.

Niemieccy naziści zamordowali w Auschwitz ok. 1,1 mln osób, głównie Żydów, a także Polaków, Romów, radzieckich jeńców wojennych oraz ludzi innych narodowości.

W 2005 roku Organizacja Narodów Zjednoczonych uchwaliła dzień 27 stycznia Międzynarodowym Dniem Pamięci o Ofiarach Holokaustu.



Uratowani więźniowie cierpieli na gruźlicę, biegunkę głodową i inne choroby, byli skrajnie wygłodzeni FOT. PAP



TEKST | Waldemar Kowalski

Czekaliśmy na rozkaz...

Witold Pilecki i polski ruch oporu w Auschwitz

Doświadczył piekła na ziemi, widział upadek człowieczeństwa, kilkakrotnie dosłownie otarł się o śmierć, a to wszystko... na własną prośbę. Złowieszczą bramę z napisem „Arbeit macht frei” przekraczał z jasnym zadaniem: na własne oczy przekonać się o niemieckim bestialstwie i stworzyć zręby obozowej konspiracji.

947 dni spędzonych przez Witolda Pileckiego w KL Auschwitz, to czas, w którym codzienne barbarzyństwo sprawców mieszało się z niewyobrażalnym dramatem ofiar i ich walką o przetrwanie. Przejawem tej ostatniej był rodzący się w obozie ruch oporu, w którym niepoślednią rolę

odegrał właśnie bohaterski rotmistrz. Za drutami fabryki zła niczego nie mógł być jednak pewny. Za każdy błąd, nawet najmniejsze potknięcie, mógł zapłacić najwyższą cenę.

Zamelduj, że rozkaz wykonałem

Pilecki zetknął się z wojskową konspiracją niedługo po klęsce wojny obron-

nej, a więc w momencie kiedy Polskie Państwo Podziemne znajdowało się jeszcze w fazie organizacyjnej. W listopadzie 1939 roku w okupowanej Warszawie, z inicjatywy mjr. Jana Włodarkiewicza, powstała Tajna Armia Polska. Rotmistrz od początku pełnił w nowej strukturze ważną funkcję – był szefem sztabu i zastępcą samego

komendanta. Konspiratorzy spotykali się w warszawskim mieszkaniu szwagierki Pileckiego – Eleonory Ostrowskiej. Zapewne tam powstał też pomysł przeniknięcia do Auschwitz i stworzenia w nim tajnej siatki więźniów. Rozwinięcie struktur konspiracyjnych TAP w niemieckim obozie miało być kluczowe dla właściwego rozeznania dokonywanych w nim zbrodni, jak i możliwości ratowania ofiar, w tym ujętych przez gestapo współpracowników rotmistrza.

19 września 1940 roku Pilecki skorzystał z „okazji”, aby zrobić pierwszy krok dla wdrożenia tego szaleńczego – jak się wydaje – zamiaru w życie. Podczas wielkiej łapanki na warszawskim Żoliborzu, w czasie której zatrzymano ponad 2000 mężczyzn, celowo dał się schwytać okupantom.

Szwagierka konspiratora, u której tego dnia przebywał rotmistrz, wspominała: *Dozorca Jan Kiliański, zaprzyjęzony żołnierz TAP, przyszedł do mnie i oznajmił mi, że jesteśmy otoczeni przez umundurowanych Niemców, którzy z każdego domu wyprowadzają mężczyzn i ładują na samochody. Podał też Witoldowi wiele możliwości uniknięcia branki. Witold odrzucił te propozycje i nie chciał nawet próbować ukryć się w moim mieszkaniu. Po chwili energicznie zastukano do drzwi. Otworzyłam, w drzwiach stanął niemiecki żołnierz – zapytał, kto tu mieszka. Nie zdążyłam odpowiedzieć, gdy w tej chwili z pokoju wyszedł Witold. Niemiec nie legitymował go. Witold ubrał się i zegnając ze mną, szepnął: „Zamelduj gdzie trzeba, że rozkaz wykonałem”. Niemiec Witolda wyprowadził. W krótkim czasie udałam się pod znany adres i wykonałam polecenie Witolda, przekazując niezrozumiałe dla mnie słowa.*

W chwili aresztowania Pilecki posiadał przy sobie dokumenty na na-

zwisko Tomasza Serafińskiego – rękoma poległego podczas obrony stolicy porucznika Wojska Polskiego – które znalazł przypadkowo w Warszawie. Jakież było zdziwienie rotmistrza, gdy ten, już po ucieczce z Auschwitz, zupełnie przypadkowo natknął się na „prawdziwego” Serafińskiego. Do tego wyjątkowego spotkania doszło w Nowym Wiśniczu, gdzie „uśmiercony” oficer pełnił funkcję zastępcy komendanta miejscowej placówki AK.

Przybyliście tutaj nie do sanatorium, tylko do niemieckiego obozu koncentracyjnego, z którego nie ma innego wyjścia, jak przez komin. Jeśli się to komuś nie podoba, to może iść zaraz na druty

Praca (nie) czyni wolnym

W momencie, gdy Pilecki przekraczał bramę z napisem „Arbeit macht frei”, świat zachodni wciąż nie dowierzał, że Hitler skłonny jest do masowych zbrodni w obozach koncentracyjnych. Choć tzw. obóz macierzysty (Auschwitz I) istniał od maja 1940 roku, a krematorium uruchomiono w nim już kilka miesięcy później, nie funkcjonował jeszcze kompleks obozowy, który stał się później symbolem zagłady na przemysłową skalę (obóz Birkenau budowano od października 1941 roku).

Pilecki wszedł do obozu nocą z 20 na 21 września 1940 roku, rozpoczynając najtrudniejszą misję w życiu. Dla Niemców stał się wyłącznie „numerem” (otrzymał obozowy nr 4859), przedstawicielem rasy tzw. podludzi, bezpłatną siłą roboczą, niewolnikiem

skazanym na zagłodzenie, zakatowanie lub śmierć w innych okolicznościach.

Wiele wskazywało na to, że spełnią się złowieszcze słowa kierownika obozu, Karla Fritzscha, wypowiedziane do Polaków, którzy przyjechali do Auschwitz pierwszym transportem trzy miesiące wcześniej, w czerwcu 1940 roku. – *Przybyliście tutaj nie do sanatorium, tylko do niemieckiego obozu koncentracyjnego, z którego nie ma innego wyjścia, jak przez komin. Jeśli się to komuś nie podoba, to może iść zaraz na druty. Jeśli są w transporcie Żydzi to mają prawo żyć nie dłużej, niż dwa tygodnie, księża miesiąc, reszta trzy miesiące* – mówił wówczas niemiecki zbrodniarz.

Pilecki szybko boleśnie przekonał się, do jakiego miejsca trafił. Tak na łamach swego raportu (spisanego po ucieczce z Auschwitz), wspominał pierwszy obozowy apel: *Za drutami, na wielkim placu, uderzył nas inny widok. W nieco fantastycznym, pelzającym po nas ze wszystkich stron świetle reflektorów, widoczni byli jacyś niby-ludzie. Z zachowania podobni raczej do dzikich zwierząt (bezwzględnie obrażam tu zwierzęta – nie ma jeszcze w naszym języku określenia na takie stwory). W dziwnych ubraniach w pasy, jakie się widziało na filmach o Sing-Sing, z orderami na kolorowych wstążkach (tak mi się wtedy w migającym świetle wydawało), z drągami w ręku, rzucili się z dzikim śmiechem na pojedynczych naszych kolegów. Bijąc ich po głowach, kopiąc leżących już na ziemi w nerki i w inne czule miejsca, wskakując butami na piersi, brzuch – zadawali śmierć z niesamowitym jakimś entuzjazmem.*

Konspirator z krwi i kości

Mimo wielu przeciwności losu, z jakimi zetknął się w obozie, Pilecki – jak na „zawodowca” przystało – szybko przystąpił do realizacji powierzonej mu misji. Z pewnością czuł jej ciężar,

działał bowiem z upoważnienia samego komendanta Związku Walki Zbrojnej, gen. Stefana Roweckiego „Grotą”.

Werbunek konspiratorów, zwłaszcza za drutami obozu, był zadaniem szalenie trudnym. Ogólne zasady dotyczące „pozyskiwania” współpracowników zawarto w instrukcji dla członków TAP. Zalecano w niej podjęcie wszelkich środków ostrożności: *Należy przeprowadzić wywiad co do kandydata, a mianowicie: kto on jest, z czego żyje, w jakim towarzystwie się obraca i przebywa i jakie ma poglądy na obecną sytuację. Szczególnie pierwszą rozmowę należy przeprowadzić z kandydatem przez podstawioną osobę, chwając Niemców, naturalnie w nieprovokujący sposób.*

Rotmistrz tłumaczył: *Gra, którą zacząłem prowadzić w Oświęcimiu, była niebezpieczna. Zdanie to nie oddaje rzeczywistości – właściwie daleko przekroczyłem to, co niebezpiecznym ludzi nazywają na ziemi – samo przekroczenie drutów przy wejściu do obozu już było niebezpieczne. Toteż praca, którą tu rozpocząłem, frapowała mnie całego bez reszty, a że zaczęła rozwijać się coraz szybciej,*

zgodnie z planem, naprawdę zacząłem się obawiać, by rodzina nie wykupiła mnie jak innych kolegów, bo przecież również żadnej sprawy tu nie miałem i przyjechałem z łapanki.

Pierwsze spiskowe rozmowy Pilecki prowadził z więźniami, których duch nie został złamany wrześnieową kłeską. – *Ponieważ takich zgłaszało się wielu, było na kim oprzeć pierwsze ramy tajnego sprzysiężenia (...). Konieczny był właściwy dobór ludzi, gdyż wielu oficerów doskonałych w koszarach, zawiodło całkowicie na polach bitew. Dlatego nie oceniałem ludzi według ich stopni. W Tajnej Armii Polskiej każdy musiał robić to, do czego się nadawał – te słowa Pileckiego vel Serafińskiego zapamiętał jego obozowy współtowarzysz, Wincenty Gawron.*

Sukcesy za drutami

Pilecki „znał się na ludziach”, więc szybko zaskarbił sobie sympatię i zaufanie współwięźniów. Fakt, że doskonale znał się na konspiracyjnym rzemiośle, był dodatkowym atutem. – *Posiadał instynkt, który go rzadko zawodził, ale długo ważył pierwszy*

krok, zanim go postawił. Na początek przyjął zasadę, że kontakty swe rozbudowywać będzie przez ludzi, o których potrafi się dowiedzieć, że już przed aresztowaniem byli w wojskowym podziemiu, przede wszystkim w TAP-ie. Rozumiał, że najlepiej jest wciągnąć do roboty ludzi szarych, nie rzucających się w oczy, nie obciążonych bujną przeszłością, która musiała być znana Oddziałowi Politycznemu. Ten pogląd kazał mu odrzucać, przynajmniej na początku, wyższych oficerów, siedzących pod prawdziwymi nazwiskami. W wypadku wywieżenia czegoś przez SS-manów, na nich musiała paść pierwsze podejrzanie – charakteryzował ochotnika do Auschwitz inny osadzony, Józef Garliński.

Strukturę konspiracyjnej siatki w obozie oparto na systemie piątkowym. Wtajemniczeni z jednej „piątki” nie wiedzieli o konspiratorach z innej grupy. W ten sposób, w przypadku wpadki, minimalizowano ryzyko wykrycia wszystkich spiskowców. – *Każda z tych piątek nie wiedziała o istnieniu innych piątek, sądziła, że jest szczytem organizacji i rozwijała się*



FOT. ARCHIWUM IPN

tak szeroko, jak suma zdolności i energii jej członków na to pozwalały. Robiłem to przez ostrożność, żeby ewentualna wpadka jednej piątki, nie pociągnęła za sobą piątki sąsiedniej – wyjaśniał rotmistrz.

Członkowie tajnej siatki obierali pseudonimy (na Pileckiego mówiono najprawdopodobniej „Witold”) i składali stosowną przysięgę, zobowiązując się działać według ściśle określonych zasad konspiracji. W praktyce za druty Auschwitz z powodzeniem przeniesiono więc model organizacyjny TAP.

Najprawdopodobniej w końcu 1941 roku Pileckiemu udało się doprowa-

wspólnemu frontowi, którego przecież zawsze mieliśmy w nadmiarze – pisał autor raportu.

Gotowi do walki!

Stworzoną przez siebie siatkę konspiracyjną Pilecki nazwał Związkiem Organizacji Wojskowych (ZOW). Tak opisywał jego działanie: *Praca polegała na: organizowaniu dożywiania, opiece na „Krankenbau”, organizowaniu dostaw bielizny, urządzaniu na lepszych posadach, podtrzymywaniu na duchu, kolportowaniu wiadomości z zewnątrz, łączności z cywilną ludnością, przekazywaniu wiadomości obozowych na zewnątrz, powiązaniu*

do komina krematorium istnień polskich.

Wtajemniczeni w konspirację więźniowie mieli zatem – jak zakładano – wspólnie z oddziałami Armii Krajowej doprowadzić do oswobodzenia obozu. Przy jednoczesnym szturmie z zewnątrz, a nawet bombardowaniu obozowych zabudowań, więźniowie mieli związać niemiecką załogę walką, korzystając z broni dostarczonej drogą zrzutów lotniczych.

Plan ten dojrzewał z miesiąc na miesiąc. – *W sierpniu 1942 podzieliłem wszystkie siły na bataliony, kompanie i plutony, wyznaczając rejonów działania, łącząc w bataliony poszczególne bloki i wyznaczając dowódców. Nie prosiliśmy przeciw nikogo o jakąkolwiek pomoc, czekaliśmy na rozkaz – zezwolenie wszczęcia akcji samodzielnej lub – zakaz takowej – czytamy u rotmistrza.*

Bohater głęboko wierzył, że uda się wyzwolić obóz. Jego apele do Komendy Głównej AK, kierowane m.in. za pośrednictwem zwalnianych z obozu więźniów, trafiały jednak w próżnię. To, że plan został zduszony w zarodku, Pilecki zrzucił później na karb niewiedzy i słabego rozeznania przełożonych, co do sytuacji panującej w obozie.

– *Tragedią więc naszą – wyjaśniał – było nie to, żeśmy, jak myślała Warszawa, byli kościotrupami, lecz przeciwnie, że jakkolwiek byliśmy silni i lokalnie bieg wypadków mieliśmy w swoim ręku, ze względu jednak na ogólną sytuację (spotęczenie – represje) – ręce mieliśmy związane i z oddali musieliśmy uchodzić za bezradnych.*

Pomysł wywołania akcji zbrojnej w obozie, koordynowanej przez konspirację warszawską, ostatecznie spał na panewce, ale przecież tajne struktury ZOW ciągle istniały. Gestapo zaczęło jednak podejrzewać spisek więźniów; z czasem rozpoczęły się pierwsze aresztowania. Dekonspira-

FOT. ARCHIWUM IPN



dzić do zawiązania nieformalnego porozumienia politycznego współwięźniów. Symbolem ugody ponad podziałami – razem z „Witoldem” w Auschwitz przebywali zarówno socjaliści, ludowcy, chadecy, jak i działacze narodowi – stało się wspólne, potajemne zorganizowanie Wigilii Bożego Narodzenia 1941 roku.

– *Nareszcie doczekałem się momentu, o którym kiedyś można było marzyć beznadziejnie; zorganizowaliśmy komórkę polityczną naszej organizacji, gdzie bardzo zgodnie współpracowali koledzy, którzy na ziemi zjadali się wzajemnie w sejmie (...). Więc trzeba było Polakom codziennie pokazywać górę trupów polskich, żeby się pogodzili i zdecydowali, że w stosunku do siebie jest większa racja – zgoda i wspólny front przeciwko*

[Pilecki] przyjął zasadę, że kontakty rozbudować będzie przez ludzi, o których potrafi się dowiedzieć, że już przed aresztowaniem byli w wojskowym podziemiu

jednostek dla skoordynowanej akcji opanowania obozu w chwili, gdy takowa nadejdzie z zewnątrz w formie rozkazu – bądź desantu. W wysiłku pracy codziennej – walczyliśmy o to, by jak najwięcej dać braciom – Polakom sił i o to, by jak najmniej oddać

cja i wywózka w głąb Rzeszy groziły też rotmistrzowi i jego najbliższemu współpracownikom. Próbując zapobiec katastrofie, obmyślił więc plan wydostania się zza drutów.

Fabryka śmierci

Jesień 1942 roku to czas, kiedy eksterminacja więźniów Auschwitz-Birkenau, wkroczyła w szczytową fazę realizacji.

– *Statystyka Oświęcimia od założenia obozu do 15 XII [1942 r.] wykazuje, że zginęło tam ponad 640 tys. ludzi, a pozostało przy życiu około 30 tys. 65 tys. Polaków zostało rozstrzelanych, powieszonych, storturowanych, zagazowanych, zmarło z głodu i chorób, żyje zaś 17 tys. Jeńców sowieckich zgładzono ponad 6 tys., żyje stu. Żydów wytruto gazem ponad 520 tys., w tym 20 tys. z Polski, reszta z Francji, Belgii, Holandii, Jugosławii i in. Kobiet – w większości Polek – żyje 6.800, zabito i zmarło 19.000. Część tylko przechodzi przez ewidencję obozową. Tysiące giną bez imienia, np. prawie wszyscy Żydzi – alarmowali w marcu 1943 roku Rząd RP na Uchodźstwie delegat rządu Jan Stanisław Jankowski i dowódca AK gen. Rowecki. Obaj korzystali z meldunków dostarczanych przez siatkę Pileckiego.*

Więści o sytuacji w obozie trafiały poza druty za sprawą zwalnianych więźniów, a także tych, którym udało się uciec (łącznie w okresie funkcjonowania KL Auschwitz z obozu uciekły 802 osoby, z czego co najmniej 144 szczęśliwie). Informacje przekazywano też za pośrednictwem robotników, czasowo pracujących na terenie obozu. Pomagali też okoliczni mieszkańcy, w różny sposób angażujący się w pomoc polskiemu podziemiu.

W jednej z pisemnych relacji ochotnik do Auschwitz informował o niemieckich zbrodniach na przedstawicielach różnych narodów i grup etnicznych: Polakach, Żydach, Cyganach,

jeńcach sowieckich. Sprawozdanie, przetłumaczone na angielski, niemiecki i francuski, miało otworzyć oczy politykom na Zachodzie. Rzeczywistość okazała się brutalna...

Jeszcze jeden, bardzo istotny argument, przesądził o przyspieszeniu przygotowań do ucieczki – Niemcy wpadli na trop siatki konspiracyjnej i, w celu jej rozbicia, zaczęli organizować masowe wywózki więźniów do innych obozów. W takich warunkach podziemny ruch oporu w Auschwitz tracił rację bytu, wszystkim bowiem jego członkom groziła dekonspiracja, i w rezultacie śmierć. Co więcej, ostatnio do Pileckiego nie dochodziły żadne nowe dyspozycje od przełożonych, co już samo w sobie było podejrzane

Wychodząc miałem o kilka zębów mniej niż w momencie mojego tu przyścia oraz złamanego mostek. Zapłaciłem więc bardzo tanio za taki okres czasu w tym „sanatorium”

i wskazywało na konieczność zakończenia misji.

W raporcie „Witold” zapisał: *W dniach 10 i 11 kwietnia 1943 roku (...) wywieziono w dwóch rzutach (obydwa do Mauthausen) razem 2500 Polaków. To ostatecznie wpłynęło na moją decyzję. Dalszego pobytu w Oświęcimiu nie uważałem już za konieczny. Dotychczas co mogłem, to zrobiłem. Lepsza połowa kolegów wyjechała. Czekanie na to „coś” dotychczas nie dało rezultatu. Odgrażano się, że wywiozą i resztę Polaków i – sądząc, że teraz już może większą korzyść przyniosę z zewnątrz niż wewnątrz – zdecydowałem się obóz opuścić.*

Podczas jednej z rozmów – już na wolności – Pilecki odnosząc się do pobytu w obozie, tłumaczył: *Prowadziłem tu robotę. Ostatnio nie dostawałem żadnych dyspozycji. Obecnie Niemcy wywieźli naszych najlepszych ludzi, z którymi pracowałem. Trzeba by zaczynać od początku. Uważam, że dalsze siedzenie moje tutaj nie ma sensu. I dlatego wychodzę.*

Stanisław Machowski z Komendy Głównej AK, z którym „Witold” spotkał się po ucieczce z Auschwitz, nie krył zdziwienia taką argumentacją. Spytał wówczas: *Ale czy można kiedy się chce przyjeżdżać i wyjeżdżać z Auschwitz?* Pilecki ze spokojem odrzekł: *Można.*

Decydujące wydarzenia rozegrały się w święta wielkanocne, w nocy z 26 na 27 kwietnia 1943 roku. Pilecki i dwaj towarzysze – Jan Redzej i Edward Ciesielski, wszyscy pracujący na nocną zmianę w piekarni, uciekli z miejsca, które stało się największym cmentarzem w historii świata.

Wyszedłem w nocy tak samo jak przyjechałem byłem więc w tym piekle dziewięćset czterdzieści siedem dni i tyleż nocy (...). Wychodząc miałem o kilka zębów mniej niż w momencie mojego tu przyścia oraz złamany mostek. Zapłaciłem więc bardzo tanio za taki okres czasu w tym „sanatorium” – wspominał bohater, który kilkakrotnie w Auschwitz dosłownie cudem uniknął śmierci.

– *Jeśli naprawdę ktoś wyjdzie, obowiązkiem jego będzie ogłosić światu, jak tu ginęli prawdziwi Polacy. Niech też powie, jak tu ginęli w ogóle ludzie mordowani przez ludzi – apelował autor raportu, który za sprawą Polskiego Państwa Podziemnego i Rządu RP na Uchodźstwie, trafił na Zachód. Wolny świat – jak pokazała historia – nie chciał jednak słyszeć prawdy o niemieckim barbarzyństwie.* ■



Superjednostka – Bolesław Burski

Wyrwaliśmy go z niepamięci – mówi o Bolesławie Burskim Anna Wójcik, kierownik Archiwum Państwowego Muzeum na Majdanku, inicjatorka publikacji i redaktor naukowy wspomnień „Jasieńczyka”. – Zachłysnęłam się nimi od pierwszych stron maszynopisu. Często o nim myślę i bardzo żałuję, że go nie spotkałam. Czasami z niewiadomych względów czujemy do kogoś sympatię i zaufanie, a ja obdarzyłam go nimi bezgranicznie – dodaje.

Bolesław Burski był wyjątkowym człowiekiem...

Zdecydowanie wyprzedzał swoją epokę, chciał się przysłużyć Polsce i robił wszystko dla ojczyzny. Był wielkim patriotą, człowiekiem doskonale wykształconym, niezwykle uzdolnionym i bardzo ciekawym świata, postacią nietuzinkową i wielowymiarową. Z zawodu był inżynierem rolnictwa, doświadczenie zawodowe łączył z og-

romną pasją do ogrodnictwa i projektowania. Władał językiem francuskim, angielskim, rosyjskim, porozumiewał się także po czesku i po niemiecku. W 1918 roku, zaraz po tym jak Polska odzyskała niepodległość, przystąpił do Związku Harcerstwa Polskiego. W ZHP działał w sposób niezwykle zaangażowany. W grudniu 1939 roku, czyli już w trakcie II wojny światowej, podharcemistrz Burski zorganizował

oddział starszoharcerski w ramach Organizacji Orła Białego, w której aktywnie działał.

Był też bibliofilem, miał kolekcję często pierwszych i unikatowych wydań o ogromnej wartości antykwarycznej. W latach 20. XX w. studiował architekturę krajobrazu we Francji, co wówczas było rzadkością i właśnie tam zapisał się do Polskiej Partii Socjalistycznej. Mocno zaangażował się

w jej działalność. Miał bardzo rozległe kontakty w działalności zawodowej, politycznej i społecznej.

Warto dodać tutaj jego niezliczone talenty...

Nie jestem w stanie wymienić wszystkich jego talentów: był przyjaźnie usposobiony do ludzi, niezwykle towarzyski, wesoły z natury, skłonny do żartów, a jednocześnie pełen pasji. Bardzo żałuję, że nie miałam okazji poznać Bolesława Burskiego. Spotkałam kilkoro innych więźniów Majdanka, ale niestety, nie jego. Ci, którzy go znali wspominają, że „Bolek był jak żywe sreberko”. Rozmawiałam kiedyś na temat „Jasieńczyka” z członkinią jury konkursowego, oceniającego wspomnienia więźniów, która była dość powściągliwą damą, i która go osobiście знаła. Powiedziała mi: „Pani Aniu, niech pani żałuje, że Pani nie poznała Pana Bolka. To był morowy chłop!”.

Burski pisał piosenki kabaretowe w języku francuskim. W latach 30. w Szwecji wydano nawet płytę z jego utworami. W obozie tworzył też pieśni o treści patriotycznej. Jego działalność muzyczno-wokalna wywarła duży wpływ na ludzi przebywających z nim w niewoli – pozwalała im na chwilę wytchnienia od obozowej rzeczywistości. Grał również na instrumentach strunowych, których miał całą kolekcję. Nawet w obozie posiadał gitarę, miał ją ze sobą podczas ucieczki z transportu ewakuacyjnego z Auschwitz.

Działal również społecznie...

W drugiej połowie lat 20. Burski zaangażował się w projekt związany z budową pierwszego w Polsce sanatorium dla dzieci z ubogich rodzin robotniczych z Dąbrowy Górniczej, które m.in. ze względu na klimat często chorowały na gruźlicę kości. Sanatorium, za pieniądze zebrane od zamożnych przyjaciół z Dąbrowy Górniczej i pozyskane z Ministerstwa



Realizacja nasadzeń przy obecnych Alejach Majakowskiego w Dąbrowie Górniczej
FOT. ZE ZBIORÓW MUZEUM MIEJSKIEGO „SZTYGARKA”

Bolesław Burski „Jasieńczyk” (1905–1984) – urodzony w Warszawie inżynier ogrodnik, harcerz, działacz PPS, żołnierz Armii Krajowej, więzień obozów na Majdanku i KL Auschwitz. Po ukończeniu studiów i uzyskaniu tytułu inżyniera ogrodnika zamieszkał w Dąbrowie Górniczej. Brał udział w wojnie obronnej Polski w 1939 roku, następnie działał głównie w Warszawie jako żołnierz Armii Krajowej oraz komendant Tajnej Szkoły Podchorążych. Aresztowany w grudniu 1942 roku, był więziony na Pawiaku, następnie w KL Lublin i KL Auschwitz. Zbiegł z transportu ewakuacyjnego do KL Mauthausen. Po wojnie powrócił do Dąbrowy Górniczej angażując się w życie społeczne i polityczne oraz poświęcając się swojej pasji ogrodnictwa.

Zdrowia, założył w Busku-Zdroju na Górcie dr Szymon Starkiewicz. Bolesław Burski zaprojektował w nim ogrody wokół pawilonów sypialnych dla dzieci. Ośrodek miał pełnić funkcję leczniczą i rehabilitacyjną. Placówka funkcjonuje do dzisiaj.

W jaki sposób wspomnienia Bolesława Burskiego trafiły do muzeum?

Państwowe Muzeum na Majdanku od początku swojej działalności wielokrotnie organizowało konkursy na wspomnienia obozowe. W 1976 roku został ogłoszony ostatni z dużych konkursów. Informacje o nim zostały rozesełane do byłych więźniów. Bolesław Burski utrzymywał bliskie kontakty z muzeum, uczestniczył w zjazdach byłych więźniów obozu oraz był członkiem Towarzystwa Opieki nad Majdankiem. Z byłymi więźniami spotykał się także na niwie prywatnej, m.in. z Henrykiem Szczesniewskim.

Swoje wspomnienia zaczął spisywać tuż po wojnie, w latach 1945–1948. Na potrzeby konkursu zapewne nieco podrasował ich tekst. Z jego korespondencji z muzeum wynika, że miał w planie ich wydanie. Przekazał na konkurs dwa egzemplarze maszynopisu przygotowanego na potrzeby publikacji. W naszym archiwum znajduje się dokumentacja konkursu, w tym protokoły jury konkursowego, składającego się z kustoszy muzealnych i pracowników lubelskich ośrodków akademickich. Jak wynika z tej dokumentacji, wszyscy jurorzy byli pod wrażeniem wspomnień Burskiego, które ocenili jako wartościowe zarówno pod względem merytorycznym, jak i językowym. I wszyscy rekomendowali je do druku.

Bolesław Burski wysłał wspomnienia do muzeum w 1980 roku. Ogłoszony w grudniu 1981 roku stan wojenny w Polsce przekreślił ich wydanie

na kilka kolejnych lat. Autor zmarł w 1984 roku, co ostatecznie sprawiło, że zaniechano starań zmierzających do publikacji. Maszynopis trafił do zasobu archiwalnego muzeum.

Kto je odkrył „na nowo”?

W latach 2009–2010 pracowaliśmy z kolegami archiwistami nad przewodnikiem po zbiorze wspomnień i relacji byłych więźniów, który miał przybliżyć korzystającym z tej grupy źródeł ich tematykę. Naszym zadaniem było sporządzanie streszczeń zawartości wspomnień i relacji. W opracowywanym zbiorze znajduje się ponad tysiąc pozycji, więc podzieliśmy między siebie – trzy osoby – proporcjonalnie po ok. 300 relacji na głowę. Szczęśliwie mi w udziale przypadła pula, w której znalazły się obszerne, dwustronnie zapisane 400-stronicowe wspomnienia Bolesława Burskiego.

Zachwyciłam się nimi i zarekomendowałam je do przeczytania kolegom z innych działów. Wszyscy stwierdziliśmy, że bardzo dobrze się je czyta, są

napisane w sposób uporządkowany, zawierają ogromny ładunek emocjonalny i duży walor poznawczy. Trzeba podkreślić, iż Burski opisał wyłącznie własne przeżycia, nie pisał o tym, czego nie był świadkiem, nie przytaczał historii osób, których osobiście nie znał, nie wydawał opinii. I przede wszystkim ważne jest to, że jego wspomnienia dotyczą trzech miejsc: Pawiaka, Majdanka i Auschwitz. W 2015 roku zaczęliśmy przygotowywać plany wydawnicze i wtedy dostałam zielone światło od dyrekcji, żeby rozpocząć pracę nad tym materiałem.

W jaki sposób rozpoczęła Pani prace nad książką?

Musiałam ponownie przeczytać wspomnienia i już podczas czytania, wynotowywałam sobie najpierw nazwiska osób, później także nazwy miejscowości. Prace zintensyfikowałam w czasie pandemii w 2020 roku. Wtedy też rozpoczęłam poszukiwanie informacji o Bolesławie Burskim w internecie, ponieważ wiedza, którą wtedy dysponowałam nie wystarczała nawet do napisania noty biograficznej. W Encyklopedii Dąbrowy Górniczej znalazłam jego krótki biogram. Zebrałam

też informacje z naszych źródeł archiwalnych. Wciąż było jednak tego za mało. Uznałam więc, że warto poprosić o pomoc Muzeum Miejskie „SztYGarka” w Dąbrowie Górniczej. Wysłałam mail do pana Arkadiusza Rybaka, dyrektora tego muzeum i bardzo szybko dostałam odpowiedź, że zostanie przeprowadzona kwerenda. Kontaktowałam się też z Muzeum Zamku w Pszczynie, z Archiwum Państwowym w Katowicach i oczywiście z Instytutem Pamięci Narodowej.

Ponadto Muzeum na Majdanku kilkakrotnie apelowało w mediach oraz w mediach społecznościowych o przekazywanie pamiątek i wiedzy o Bolesławie Burskim. Nie ukrywam, że liczyłam na to, że może zgłosi się ktoś z rodziny. Po jakimś czasie zaczęły napływać do mnie pierwsze skąpe informacje. Wszystkie fakty, daty i nazwiska, które podaje Burski z czasem zaczęły się potwierdzać. Na przykład data wyzwolenia Pszczyny podana przez niego, czyli 29 stycznia 1945 roku, jest znana tylko najstarszym mieszkańcom miasta. Oficjalnie przyjęta data to 10 lutego 1945 roku. Równocześnie dostawałam pierwsze materiały z Muzeum „SztYGarka”. Koledzy złapali „bakcyła” i zaczęli drążyć temat. Okazało się, że posiadają niesamowitą kolekcję fotografii, którą przekazał do zbiorów muzealnych syn znanego w Dąbrowie Górniczej mistrza fotografii Piotra Paska. Wciąż brakowało mi potwierdzenia działalności harcerskiej Bolesława na terenie Zagłębia. Hufiec w Dąbrowie Górniczej poinformował mnie o braku materiałów.

Pierwsze obszerniejsze informacje na temat Bolesława Burskiego znalazłam w Wojskowym Biurze Historycznym, które udostępniło kopię jego akt, wśród których znalazły się opinie przełożonych. Wychwalali oni jego rozliczne talenty: przywódczy, organizatorski, sportowy, a także wysokie morale. W aktach odnotowano także



Bolesław Burski (z lewej) podczas otwarcia stadionu sportowego i prac projektowych Parku Zielona (zdjęcie poniżej)

FOT. ZE ZBIORÓW MUZEUM MIEJSKIEGO „SZTYGARKA” (2)



fakt posiadania przez Bolesława Państwową Odznaki Sportowej, która obowiązywała go do udziału w corocznych egzaminach, potwierdzających jego sprawność fizyczną. Wiadomo, że jeździł konno, na nartach, grał w piłkę nożną, pływał.

Bolesław Burski był żołnierzem I Pułku Legionów, brał udział w wojnie obronnej Polski w 1939 roku, był dwukrotnie ranny. Z Archiwum Państwowego w Katowicach pozyskałam dokumentację o jego karierze zawodowej. Wiadomo, że należał do Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, z której został szybko wykluczony. Zarzucono mu zatajenie przynależności do AK. Natomiast z wypełnionej przez niego ankiety wynika, że było odwrotnie. Bolesław Burski pracował wówczas na stanowisku dyrektora w Miejskich Zakładach Ogrodniczych w Bytomiu. Funkcjonariusze partyjni zwrócili się do kadrowego z prośbą o napisanie opinii. Zdaje się, że był przyzwoitym człowiekiem, bo wystawił doskonałą. Podkreślał że Burski jest tej klasy fachowcem, jakich w kraju jest niewielu. W 1957 roku zapisał się do Stronnictwa Demokratycznego.

W ten sposób rozwijałam swoją wiedzę, która pomogła mi przygotować notę biograficzną. Trudno sobie wyobrazić, że jeden człowiek mógł tego wszystkiego dokonać. W IPN znalazłam dokumenty dotyczące działalności konspiracyjnej Burskiego. Po wojnie trafił do więzienia i przeszedł ciężkie śledztwo. Więzienie opuścił dzięki przedwojennej znajomości z wojewodą katowickim gen. Aleksandrem Zawadzkiem.

Jak wyglądały poszukiwania spadkobierców?

Przez długi czas wydawało mi się, że posiadając maszynopis i list przewodni Bolesława Burskiego, w którym poinformował o przekazaniu wspomnień na konkurs z intencją publika-



Spotkanie poświęcone książce Bolesława Burskiego „Pawiak, Majdanek, Auschwitz” zostało zorganizowane we współpracy z UDSKiOR w Muzeum Niepodległości w Warszawie 28 listopada 2024 r. Otworzył je zastępca szefa Urzędu Michał Syska. Od lewej siedzą: Marta Grudzińska Państwowe Muzeum na Majdanku (PMM), Anna Wójcik (PMM), Joanna Gierczyńska (Muzeum Więzienia Pawiak), Dorota Niedziałkowska (PMM) FOT. UDSKiOR (4)

cji, możemy je wydać. Jeden z punktów regulaminu konkursowego stanowił, że najlepszej ocenione prace zostaną opublikowane. Uznaliśmy to, jak się okazało błędnie, za zgodę domniemaną. Po konsultacjach z prawnikami dotarła do nas bolesna prawda, że bez zgody spadkobierców autora nie możemy ich wydać. Nie wiedziałam nawet czy dzieci Burskiego żyją, nie znałam personaliów wnucząt. Apelowaliśmy o pomoc w poszukiwaniu osób, które mogą nam więcej powiedzieć, prosiliśmy, by zgłosiły się do muzeum. Jednak nasze apele pozostawały bez odpowiedzi.

W końcu napisała do muzeum sąsiadka Burskiego z Dąbrowy Górniczej. Wyrażała się o nim w samych superlatywach. To ona potwierdziła,



że Bolesław Burski ma wnuka i najprawdopodobniej wnuczkę. Niestety, nie miała z nimi żadnego kontaktu. Wtedy rozpoczęłam akcję szukania ich przez Urzędy Stanu Cywilnego, genoteki, dawałam ogłoszenia w mediach społecznościowych. Bardzo pomagała mi moja koleżanka z muzeum Marta Grudzińska, która nawiązała wiele

kontaktów poprzez Facebook. Pewnego dnia dostała wiadomość od osoby znającej Jaremę Burskiego, który okazał się wnukiem Bolesława. Jego ojcem był Krzysztof. Zadzwoniliśmy do niego i szczęśliwie wyraził pełne wsparcie dla naszej inicjatywy. Do-

skonałe pamiętał dziadka, w domu miał teczkę z maszynopisem wspomnień wraz z rysunkami i fotografiami, które Burski przygotowywał dla wydawnictwa. I zupełnie bezinteresownie nam ją przekazał. Rozpoczęliśmy więc poszukiwania córki. Nie mogę ujawnić

wszystkich szczegółów, ale na pół legalnie udało się znaleźć wnuczkę Bolesława. Była bardzo zaskoczona, kiedy do niej zadzwoniłam. Po rozmowie ze swoją mamą wyraziła pełną zgodę na publikację. Doszło do porozumienia pomiędzy spadkobiercami a wydawnictwem Prószyński i Ska. Dopiero wtedy otworzyła się nam absolutnie wolna droga do publikacji.

W potocznej świadomości mieszkańców Dąbrowy Górniczej Bolesław Burski to pasjonat ogrodnictwa, u którego można było kupić wspaniałe kwiaty i sadzonki drzew. Miał swój dom na osiedlu Staszic i tam prowadził działalność gospodarczą. Natomiast jego dokonania w zakresie planowania zieleni miejskiej w naszym mieście zostały niemal zapomniane – ocenił w rozmowie z „Kombatantem” Arkadiusz Rybak, dyrektor Muzeum Miejskiego „Szttygarka” w Dąbrowie Górniczej. Dodał też, że ważnym aspektem w działalności Burskiego była praca społeczna w gronie weteranów II wojny światowej. – W swoim środowisku oraz wśród miejscowych harcerzy był znany i lubiany – zaznaczył dyrektor.

Jakie pamiątki po Burskim zachowały się w waszych zbiorach?

Nasze muzeum dysponuje dużą kolekcją zdjęć wykonanych przez Bolesława Burskiego w latach 30. XX wieku, które dokumentują zmiany w krajobrazie Dąbrowy Górniczej, która jako miasto przemysłowe nie posiadała ówczesnie rozwiniętej przestrzeni rekreacyjnej. Na negatywach szklanych, które posiadamy można zaobserwować m.in. etapy budowy Parku Zielona oraz wytyczanie ulic wraz z zagospodarowywaniem zieleni. Rodzina Bolesława Burskiego przekazała nam szereg dalszych pamiątek osobistych. Wśród nich na uwagę zasługuje przede wszystkim kalendarz kieszonkowy na 1939 rok, gdzie zapisywał on wszystkie wydarzenia – dzień po dniu. Szczególnie cenne są zapiski dokonywane od lipca tego roku, kiedy został zmobilizowany do wojska, do końca września, a więc przebieg całej kampanii wrześniowej.

Bolesław Burski był patronem obchodów Dni Wolnościowych i Święta Niepodległości w Dąbrowie Górniczej w 2024 roku...

Przygotowaliśmy wtedy wystawę planszową poświęconą jego działalności na rzecz miasta. Została ona pokazana w naszej placówce oraz w Muzeum Niepodległości w Warszawie. Wystawie towarzyszył film dokumentalny pt. „Kwiaty na hałdach”, który jest dostępny w sieci internetowej. Planujemy w roku bieżącym kolejną wystawę poświęconą Bolesławowi Burskiemu, która będzie prezentowana w Parku Zielona, którego był projektantem.

Przygotowujemy także scenariusz do drugiej części filmu o Bolesławie Burskim, która będzie traktować o jego powojennych losach. Uczestniczył wtedy aktywnie jako projektant i wystawca w wielu konkursach i targach ogrodniczych. Współpracował w tym czasie także z Wojewódzkim Parkiem Kultury i Wypoczynku w Chorzowie.

Ta historia czekała na Panią...

Chyba tak, ale wydanie jej jest nie tylko moją zasługą. Mam szczęście, że pracuję z osobami, które zamęczane przeze mnie codziennymi opowieściami o Burskim zaangażowały się bardzo mocno w projekt. Ich pomoc była bezcenna. W tej historii było zresztą dużo szczęśliwych splotów okoliczności. Ogromną pracę wykonała Marta Grudzińska i Dorota Niedziałkowska, która była odpowiedzialna za opracowanie redaktorskie i redakcję wydawniczą. Mieliśmy też ogromne wsparcie ze strony „Szttygarki”. Chciałabym bardzo podziękować Joannie Tokaj-Gąkowskiej i dyrektorowi Arkadiuszowi Rybakowi. To była trudna podróż, wszyscy włożyliśmy w nią dużo pracy i wszyscy połknęliśmy „bakcyła”. To złożyło się na sukces publikacji. Traktuję ją jako absolutny sukces zawodowy. Po ukazaniu się książki często myślę o Burskim.

Co by mu Pani powiedziała?

Zalałabym go potokiem słów, które wyrażałyby wdzięczność za to, co zrobił. W pewnym momencie żyłam tylko historią życia Bolesława Burskiego. Przeniknął do mojej rodziny, przyjaciół i współpracowników. Zostanie tam na zawsze... Pragnienie Bolesława dotyczące wydania jego wspomnień drukiem wreszcie się spełniło. Sądzę, że autor świadomy ich potencjału, chciał aby czytelnicy poznali jego historię.

**rozmawiała
Katarzyna Zientara-Majewski**



Niedługo po zwycięskiej kampanii jesienią 1939 roku dowództwo Luftwaffe przedstawiło oficjalny raport ze swych operacji nad Polską. Szczególnie dużo miejsca poświęcono w nim niszczeniu Warszawy. Tylko jednego dnia, 25 września 1939 roku, któremu warszawiacy nadali miano „lanego poniedziałku”, 1200 niemieckich bombowców zrzuciło na miasto blisko 630 ton bomb



FOT. EAST NEWS (2)

TEKST | Piotr Korczyński

Zagłęda miasta w karnawale

Drezno na początku 1945 roku w porównaniu z innymi niemieckimi miastami – zwłaszcza Berlinem i tymi leżącymi w strategicznym dla przemysłu wojennego Zagłębiu Ruhry, jawiło się jako oaza spokoju. Wprawdzie stolicy Saksonii nie omijały alianckie bombowce – jak dziś się często twierdzi, ciężko było też z aprowizacją, gdyż miasto wypełniły tłumy uchodźców i robotników przymusowych zwożonych tu z terenów zagrożonych ofensywą sowiecką, ale mimo wszystko drezdeńscy mogli wierzyć, że opatrność nad nimi czuwa i że mogą nawet świętować karnawał. Żyli złudzeniem...

burzących i zapalających. W tym niszczycielskim nalocie zginęło 10 tys. warszawiaków, a 35 tys. zostało rannych. W sumie oblężenie Warszawy pociągnęło za sobą śmierć 40 tys. cywilów, zniszczono 10 proc. budynków, a kolejnych 40 proc. poważnie uszkodzono. W raporcie znaczną część tych „osiągnięć” przypisali sobie lotnicy, podkreślając: *Doskonała skuteczność bomby zapalającej B1Fe w przypadku wielkomiejskich bloków mieszkalnych nie ulega żadnej wątpliwości (...). Do tego dochodzą bomby burzące i odłamkowe (...) by utrzymać ludność w schronach; w rezultacie poszczególne ogniska pożaru rozprzestrzeniają się i powstaje jedna wielka katastrofa pożarowa.*

Kiedy ów raport trafił do rąk Hermanna Göringa, naczelnego dowódcy Luftwaffe, ten pokazał go Josephowi Goebbelsowi. Główny propagandysta

III Rzeszy wpadł w zachwyt i nakazał swym filmowcom nakręcić na jego podstawie film o „imponujących osiągnięciach Luftwaffe”. Nosił on tytuł „Die Feuertaufe” (Chrzest bojowy). Jednak ku konsternacji Goebbelsa okazało się, że wywołał on skutki odwrotne od zamierzonych. Po pierwszych seansach w kwietniu 1940 roku funkcjonariusze Gestapo ze zdziwieniem odnotowali, że zdjęcia zburzonej polskiej stolicy wprowadzały widzów w przygnębienie, a nawet w trwogę przed „okropnościami wojny”. Film szybko wycofano z kin. Mieszkańcy Berlina i innych niemieckich metropolii czuli instynktownie, że to samo, co „podniebni rycerze” Luftwaffe zgotowali Warszawie, może spotkać ich samych. Istotnie, starotestamentowa sentencja „Kto sieje wiatr, ten zbiera burzę” potwierdziła się zupełnie w ostatnich latach wojny.

Burza ogniowa nad Niemcami

W 1940 roku wojska Hitlera ruszyły z ofensywą na zachód Europy, a Luftwaffe i tu stosowało swą niszczytelką taktykę. Doświadczył jej między innymi Rotterdam 14 maja 1940 roku, a kiedy niemieckie lotnictwo stało się główną bronią w walce z Albionem, bombowce z czarnymi krzyżami na skrzydłach terroryzowały Londyn i kolejne miasta brytyjskie w niszczytelnej operacji „Blitz” (Błyskawica), która trwała od września 1940 do maja 1941 roku. Jej symbolem stało się zniszczenie katedry w Coventry 14 listopada 1940 roku. 6 kwietnia 1941 roku Luftwaffe dokonało niszczytelnego nalotu na Belgrad. Jednakże wiosną tego roku było już jasnym, że Luftwaffe – przegrawszy batalię w bitwie o Anglię – nie zdoła nie tylko przechylić szali zwycięstwa, ale i obronić własnego kraju przed coraz częstszymi nalotami odwetowymi nieprzyjaciela.

Obietnica Göring, że ani jedna bomba nie spadnie na Berlin szybko



obróciła się przeciw niemu – stał się najbardziej niepopularnym dygnitarzem nazistowskim w Niemczech, a kolejne porażki sił powietrznych na zachodzie i wschodzie (między innymi fiasko mostu powietrznego pod Stalingradem) pogrążyły go w nielaskę i u Hitlera. Nie zdołały jej zniwelować w kolejnych latach terrorystyczne naloty na Wielką Brytanię „bomb latających” V-1, czy pocisków rakietowych V-2. Mimo pojawienia się nowoczesnych i świetnych samolotów, Luftwaffe nie mogła już zniwelować dysproporcji sił, jakie wyrosły po tym, gdy do wojny w grudniu 1941 roku oficjalnie weszły Stany Zjednoczone ze swą potężną lotniczą flotą i potencjałem jej nieprzerwanej rozbudowy. Nadszedł czas burzy ogniowej. Niemieckie miasta miały zasmakować tego, co wcześniej doświadczyła między innymi Warszawa, Rotterdam, Londyn i Belgrad – zmasowanych nalotów dywanowych. Pierwsza skutki burzy ogniowej poznała Lubecka po nalocie dywanowym brytyjskiego RAF 28 marca 1942 roku.

Od następnego roku RAF wspólnie z amerykańskim USAAF przystąpiły do wielkiej ofensywy powietrznej, w której brytyjskie bombowce atakowały wyznaczone cele na terytorium III Rzeszy w nocy, a amerykańskie superfortece bombardowały je w dzień.

Po wylądowaniu sił inwazyjnych w Normandii w czerwcu 1944 roku te naloty jeszcze zintensyfikowano, tym bardziej że samoloty alianckie mogły startować z baz coraz bliższych niemieckim granicom. Priorytetem dla alianckich sił powietrznych było niszczenie infrastruktury militarnej i przemysłowej oraz węzłów komunikacyjnych, ale osłabianie morale niemieckiego społeczeństwa także było ważne. Z tych powodów obracano w perzynę całe dzielnice niemieckich miast. Tylko w 1943 roku na Berlin, Bremę, Hamburg, Lubeckę, Norimbergę, Rostok, Stuttgart i metropolie Zagłębia Ruhry spadło 125 tys. ton bomb, w tym 50 tys. na sam Berlin. Pozbawiło to dachu nad głową około miliona ludzi, dziesiątki tysięcy było zabitych i rannych.

Burza ogniowa

Załogi alianckich bombowców do perfekcji opanowały taktykę, którą z takim entuzjazmem niemieccy oficerowie Luftwaffe opisywali po nalotach na Warszawę w 1939 roku. Jeśli było to bombardowanie nocne, teren nalotu wprawdzie oświetlały flary i następował zrzut ciężkich bomb burzących, które rujnowały budynki i sieci wodociągowe. Po nich przychodziła kolej na bomby zapalające, które czyniły z miasta prawdziwe piekło. Wznie-

cane przez nie pożary były podsypane przez podmuch powietrza. Podmuchy miały siłę huraganu – ogień więc rozprzestrzenił się z wielką prędkością, paląc wszystko na swej drodze. Ludzie kryjący się w schronach czy piwnicach umierali uduszeni, ci na ulicach dosłownie znikali w kuli ognia. Wir płomieni wysysał wszystko wokół i topił w temperaturze, której nie opierał się ni beton, ni stal. Oto ta osławiona burza ogniowa, która z wielokrotną niszczytelką moc bomb.

Kumulacja unicestwienia

Ponoć brytyjski marszałek Arthur Harris, w latach 1942–1945 dowódca alianckiej floty bombowej w Europie i wielki zwolennik nalotów dywanowych na Niemcy, za co dziennikarze nadali mu przydomek „Bomber Harris” (w RAF nazywano go bardziej dosadnie „Butcher Harris”) miał na biurku dwa stosy albumów, które ciągle przekładał. Pierwszy tworzyły albumy miast niemieckich niezniszczonych jeszcze przez jego bombowce. Drugi, który z każdym dniem rósł kosztem tego pierwszego, to miasta, których starówki i dzielnice zostały już obrócone w gruzy. Jeśli ta anegdota jest prawdziwa (potwierdzają ją relacje kilku oficerów, w tym polskich, goszczących w sztabie Harris’a), to album z widokami Drezna był na samym dnie owego pierwszego stosu. Lecz wbrew temu, co twierdzą niektórzy historycy, nie znalazł on się tam przypadkowo.

Dla alianckich, a zwłaszcza brytyjskich sztabowców, priorytetem w planowaniu nalotów na Niemcy było niszczenie obiektów przemysłowych związanych z marynarką wojenną (dlatego z takim zapamiętaniem bombardowano Hamburg). A w Dreźnie znajdowała się między innymi fabryka produkująca działa montowane na pokładach U-Bootów (była ona celem nalotów już w październiku 1944 roku), drugim z powodów, dla którego

Drezno trafiło na listę „Bomber Harris” to fakt, że przez miasto biegły ważne węzły komunikacyjne (którymi transportowano nie tylko wojsko, ale i więźniów do obozów koncentracyjnych), wreszcie trzeci stanowiła ofensywa Armii Czerwonej prowadzona od wschodu – bombardowanie miasta znacznie mogło ją odciążać. Prawdą jest, że Drezno było niemal pozbawione osłony lotniczej i obrony przeciwlotniczej przetrzuconych na bardziej zagrożone odcinki frontu.

Prawdą też jest, że było ono – jak wspomniano wyżej – przepełnione uchodźcami oraz robotnikami przymusowymi, więźniami i jeńcami ewakuowanymi z innych części Rzeszy. Nie ma również przesady w stwierdzeniu, że drezdeńscy nie spodziewali się nalotu na swe miasto. Popularna była wśród nich pogłoska o krewnej Churchill’a, której mieszkanie w Dreźnie miało być gwarantem bezpieczeństwa od strony bombowców. Płonne to były nadzieje – dosłownie!

Piekło na ziemi

13 lutego 1945 roku wieczorem nad Drezno nadleciała pierwsza fala samolotów 5. Grupy Powietrznej RAF. Wpierw do akcji ruszyły myśliwce, które zrzuciły nad miastem flary oświetlające cele. Wybiła godz. 22.00, kiedy na Drezno posypały się bomby z luków 245 Lancasterów. Obrony przeciwlotniczej nie było prawie żadnej, a drezdeńscy w wąskich uliczkach starego miasta świętowali koniec karnawału i nadchodzące następnego dnia walentynki. Nagle spadło na nich przeszło 800 ton bomb burzących i zapalających, czyniąc z festynu w jednej chwili piekło na ziemi. Wieczór był pogodny, więc burza ogniowa momentalnie zaczęła siać swe zniszczenie – huragan fali uderzeniowej wyrwał w parku drzewa z korzeniami, porywał ławki i ludzi i rzucał w ściany ognia, które momentalnie ogarnęły całe miasto. A to był dopiero początek

armagedonu. O 1.00 nad ranem nadleciała druga fala bombowców – znacznie potężniejsza, bo licząca 529 bombowców, które zrzuciły dwa tys. ton bomb w miasto zmienione po horyzont w jedną wielką pochodnię.

Tak te chwile wspomina Anna Falkowska, która jako młoda dziewczyna wywieziona na roboty przymusowe do Niemiec, znalazła się pod koniec wojny na przedmieściach Drezna, jako służąca u rodziny dentysty: *Po [drugim] nalocie byliśmy zasypani gruzami i spalonymi resztkami domu. Dzięki sąsiadom wydostaliśmy się na zewnątrz. Całe miasto się paliło (...), że nie było możliwości ocaleć, bo iskry, gorący dym dusiły człowieka. Ocaleliśmy tylko dlatego, że mieszkaliśmy poza miastem i zaraz były otwarte pola, gdzie leżeliśmy twarzą do wilgotnej ziemi i tak czerpaliśmy świeże powietrze. Następnego dnia okazało się, że to nie koniec. Tym razem do dzieła zniszczenia przystąpili Amerykanie. Kilkadziesiąt minut po dwunastej 315 latających fortet B-17 z 8. Grupy Powietrznej zrzuciło na płonące Drezno 771 ton bomb różnego rodzaju.*

Szacowanie ofiar

Drezno było bombardowane i 15 lutego – czwarta fala liczyła 200 bombowców, które zrzuciły blisko 400 ton bomb, ale operację utrudniało już pogorszenie się pogody. W całym bombardowaniu alianci utracili tylko dziewięć samolotów; w porównaniu z innymi nalotami dywanowymi, gdzie trzeba było przedrzeć się przez niemieckie eskadry myśliwskie i obronę przeciwlotniczą, były to straty znikome. Natomiast szacowanie ofiar i strat w Dreźnie trwało wiele lat i przez długi czas budziło kontrowersje. Zaraz po nalocie Goebbels ogłosił, że w Dreźnie zginęło około 200 tys. ludzi i z miejsca wykorzystał ten fakt w swej propagandzie. Namawiał nawet Hitlera, by wziął odwet na jeńcach al-



FOT. EAST NEWS

ianckich, ale ten zdając sobie sprawę, że słabnący Wehrmacht nie miałby już żadnego pardonu ze strony aliantów, odmówił. W świadomości Niemców i nie tylko zresztą ich, na lata utrwałała się jednak ta ogromna liczba ofiar i przekaz, że Drezno nie tylko było bezbronne, ale i nie miało żadnego znaczenia wojskowego. Dziś w oparciu o wieloletnie badania historyków, szacuje się, że w bombardowaniu Drezna zginęło od 20 do 25 tys. ludzi: jego mieszkańców, uchodźców, robotników przymusowych, jeńców i więźniów.

Wśród zabitych i zaginionych było także wielu Polaków, między innymi mąż cytowanej wyżej Anny Falkowskiej, Edward Falkowski rodem z Wilna, który w Dreźnie pracował w fabryce tytoniowej, a mieszkał w jednym z obozów. *Prawie przez dwa tygodnie – wspominała Anna Falkowska – nie można było się nigdzie ruszać przez ruiny i dowiedzieć się, czy kto z bliskich czy znajomych został przy życiu. Kiedy została oczyszczona droga od dworca głównego do wschodniego, poszliśmy razem z lekarzem tam, gdzie znajdowały się lagry, ale ani śladu z nich nie pozostało, tylko dookoła popalone trupy – wyglądały jak duże lalki, niemożliwe do rozpoznania.* Anna Falkowska nigdy nie odnalazła męża.

Drezno w tych trzech strasznych dniach stało się wspólnym cmenta-

rzem – Niemców, Polaków i osób innych narodowości zwożonych tu z całej okupowanej Europy, także wielu jeńców. Jednym z tych, którym udało się przeżyć bombardowanie i oglądać jego skutki na własne oczy był Kurt Vonnegut. Po wojnie opisał to doświadczenie w głośnej powieści antywojennej „Rzeźnia numer pięć”. Jednak byli też tacy ludzie, którym ten straszny nalot na Drezno ocalił życie. Mowa o Żydach wywożonych do obozów zagłady. Zniszczenie drezdeńskiej magistrali zdeorganizowało te transporty zupełnie. Jednym z tych ocalonych był wybitny romanista, profesor Victor Klemperer.

Akcja odwetowa

Pisząc o polskich wątkach w nalocie dywanowym na Drezno, prócz ofiar wśród więźniów i robotników przymusowych, którzy mieli nieszczęście przebywać wtedy w stolicy Saksonii, należy wspomnieć o załogach 300. Dywizjonu Bombowego Ziemi Mazowieckiej, który także brał udział w tej operacji. Część jego załóg, na wieść o ustaleniach konferencji jałtańskiej, odmówiła wzięcia w niej udziału, większość jednak poleciała na akcję bojową, pisząc zwyczajowo kredą na bombach ładowanych do luków bombowych „Za Warszawę” ... Na koniec trzeba przyznać otwarcie, że bombardowanie Drezna, podobnie jak innych

miast niemieckich, prócz aspektów militarnych było aktem odwetu oraz pokazem siły także wobec „sojusznika ze Wschodu” – Związku Sowieckiego. Dawano Stalinowi do zrozumienia, że i owszem Armia Czerwona jest potęgą na lądzie, ale w powietrzu to my, alianci, rządzymy. Kiedy Europę podzieliła żelazna kurtyna, Sowieci ochoczo podsycali mit Drezna pozbawionego wszelkiego znaczenia militarnego, zbrodniczo zniszczonego (porównywano ten nalot do zrzućenia bomb atomowych na Hiroszimę i Nagasaki) – zapominając o własnych prośbach o wsparcie bojowe, jakie słali do sztabu Anglosasów. Ów mit po zjednoczeniu Niemiec wykorzystują ochoczo niemieccy neonaziści, przeciw czemu w rocznicę nalotu – 13 lutego – władze miasta organizują demonstrację – „łańcuch ludzkich rąk” wokół drezdeńskiej starówki.

Dziś, kiedy za naszą wschodnią granicą miasta ukraińskie niszczone są przez rosyjskie rakiety, bomby i drony, gdzie każdego dnia w tych nalotach giną cywile, truizmem jest pisanie, że tragedia drezdeńczyków i ludzi z całej niemal Europy do tego miasta zwożonych powinna być przestrogą i nauką... Zacytujmy więc fragment z „Rzeźni numer pięć” Kurta Vonneguta: *Po masakrze powinna zapanaować wielka cisza i rzeczywiście jest cisza, którą naruszają tylko ptaki. A co mówią ptaki? To, co można powiedzieć na temat masakry: It-it?* ■

Bibliografia i źródła cytatów:

Böhler J., „Najazd 1939. Niemcy przeciw Polsce”, przeł. Dariusz Salamon, Kraków 2011

Coonts S., „Wojna powietrzna”, przeł. Dariusz Matuszak, Warszawa 1997

Koj E., „Tej nocy umarło miasto. Zniszczenie Drezna oczyma Polki”, <https://przystanekhistoria.pl/pa2/tematy/niemcy/31027,Tej-nocy-umarlo-miasto-Zniszczenie-Drezna-oczyma-Polki.html>

Vonnegut K., „Rzeźnia numer pięć”, przeł. Lech Jęczmyk, Poznań 2018

Sportowcy w czasie II wojny światowej

TEKST | Dorota Gałaszewska-Chilczuk

Wojenna hekatomba pochłonięła miliony polskich istnień, w tym jak odnotował historyk sportu Bogdan Tuszyński, półtora tysiąca sportowców i osób związanych ze światem sportu. Przed jej rozpętaaniem, w odrodzonej Polsce po ponad 120 latach niewoli, rozwijali swe sportowe pasje i odnosili spektakularne sukcesy zarówno w kraju, jak i na świecie. Wśród nich byli m.in. Maria Kwaśniewska, Janusz Kusociński, Bronisław Czech i wielu innych. Po wybuchu wojny wielu z nich zaangażowało się w działalność państwa podziemnego, odkładając własne marzenia na bok. Podjęli nierówną walkę, zamieniając areny sportowe na działalność konspiracyjną, barykadę w powstaniu warszawskim czy obóz koncentracyjny.

Karczma „Pod kogutem”

W warszawskiej jadalni przy ul. Jasnej 6, którą potocznie nazywano Gospodą Sportowców, pracował jako kelner pierwszy polski olimpijczyk Janusz Kusociński, czyli złoty medalista z Los Angeles z 1932 roku w biegu na 10 tys. metrów. Wybuch wojny 1 września zniweczył jego marzenia o udziale w maratonie podczas igrzysk w 1940 roku. W ciągu jednego dnia ze sławnego sportowca stał się jednym z tysięcy broniących stolicę. Nie otrzymał powołania do wojska, gdyż z powodu kontuzji kolana otrzymał kategorię „D”. Zgłosił się na ochotnika. Przydzielony do pierwszego plutonu kompanii karabinów maszynowych

z Batalionu 360 Pułku Piechoty, bronił Fortu Czerniakowskiego na Sadybie. Dwukrotnie ranny w trakcie walk, został odznaczony Krzyżem Walecznych, po kapitulacji zaangażował się w ruch oporu. W połowie grudnia 1939 roku wstąpił do konspiracyjnej Organizacji Wojskowej „Wilki”.

Posługując się pseudonimami „Kusy” oraz „Prawdzic” w pracy „Pod kogutem” werbował gości lokalu do konspiracji i dostarczał im prasę podziemną. Podejrzane zachowanie kelnera zauważył jeden z bywalców, niemiecki agent Szymon Wiktorowicz i go zadenuncjował. 28 marca 1940 roku Gestapo aresztowała „Kusego” w jego mieszkaniu. Oznajmili siostrze, która akurat przyjechała w odwiedzin, że jej brat jest wielkim sportow-

cem, ale muszą go skrócić o głowę, bo okazał się jeszcze większym konspiratorem. W trakcie prawie trzymiesięcznego śledztwa, „Kusy” nie wydał nikogo z organizacji, odrzucił też propozycję trenowania niemieckich lekkoatletów. Zbity, zmaltretowany i nie chodzący już o własnych siłach mistrz olimpijski został zabity 20 czerwca podczas egzekucji w Palmirach.

Jadwiga Jędrzejowska, najlepsza polska tenisistka lat międzywojennych, przed wybuchem wojny regularnie grywała z królem Szwecji, Gustawem V. Wraz z grupą polskich sportowców zaangażowała się w działalność konspiracyjną prowadzoną „Pod Kogutem”, pracując jako kelnerka. Gdy do domu przy ul. Przemysłowej, gdzie mieszkała, przyszło wezwa-



Maria Kwaśniewska, 1939 r. FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE (WWW.NAC.GOV.PL)

nie na Gestapo, ogarnął ją paraliżujący strach. Poszła z duszą na ramieniu. Na miejscu gestapowiec grzecznie poinformował ją, że na prośbę króla Gustawa V, wystosowaną w oficjalnym piśmie, ma wyjechać do Sztokholmu. Zaskoczona, kategorycznie odmówiła. We wspomnieniach napisze później, że nie mogła zdezercerować z ojczyzny i opuścić swych najbliższych. Gdy zmieniała miejsca zamieszkania, Gestapo w dawnym domu przy ul. Przemysłowej wykryło stację nadawczą. Wszyscy mieszkańcy zostali rozstrzelani.

Po wolność przez góry

Bronisław Czech był najwszechstronniejszym polskim narciarzem okresu międzywojennego, trzykrotnym olimpijczykiem, taternikiem i ratownikiem górskim. Uprawiał zarówno narciarskie konkurencje klasyczne (biegi, skoki narciarskie, kombinację norweską), jak i alpejskie (ślalom i zjazd). We wszystkich tych dyscyplinach odnosił międzynarodowe sukcesy. Kiedy wybuchła II wojna światowa Bronisław Czech włączył się w działalność konspiracyjną. Został kurierem, przeprowadzał ludzi na Węgry, prznosił też dokumenty. 14 maja 1940 roku został zatrzymany przez Gestapo. Odmówił trenowania niemieckich narciarzy.

Miesiąc później Czech znalazł się wśród pierwszych 728 polskich więźniów przetransportowanych z Tarnowa do nowo powstającego obozu Auschwitz. Otrzymał tam numer 349 i przydzielono go do bloku IV. Jako absolwenta Szkoły Przemysłu Drzewnego w Zakopanem skierowano go do pracy w stolarni, a po zorientowaniu się, że więzień ma duży talent plastyczny, pracował także w rzeźbiarni. Robił z drewna ozdobne kasetki i popielniczki, a potem również łyżki i drewniane chodaki. W obozie esesmani ponowili próbę zwerbowania Czecha do pracy z niemieckimi narciarzami. Po

raz kolejny odmówił, tłumacząc, że woli pozostać w obozie jako Polak niż wyjść z niego jako zdrajca. Szybko włączył się w działalność ruchu oporu, został współpracownikiem Witolda Pileckiego, który zorganizował obozowe podziemie. Skrajnie złe warunki życia, niedożywienie i ciężka praca znacznie pogorszyły jego stan zdrowia. Wiosną 1944 roku zaczął chorować. 5 czerwca 1944 roku Bronisław Czech zmarł w Auschwitz z wycieńczenia. Miał zaledwie 36 lat.

„Mistrz wszech wag KL Auschwitz”

W tym samym transporcie, w którym znalazł się Bronisław Czech, był również bokser Tadeusz Pietrzykowski, który w 1937 roku zdobył mistrzostwo Warszawy w kategorii koguciej. Prasa sportowa okrzyknęła młodego boksera „człowiekiem o żelaznej woli i pięściach ze stali”. Triumf w mistrzostwach Warszawy dał „Teddy’emu” przepustkę do walki o mistrzostwo Polski. Dotarł do półfinału, co było jego największym sportowym sukcesem. Wybuch wojny przerwał doskonale zapowiadającą się karierę pięściarską. Walczył w obronie Warszawy, potem chciał walczyć o wolną Polskę w formujących się we Francji polskich oddziałach wojskowych. Złapani w czasie nielegalnego przekraczania granicy został deportowany w pierwszym transporcie polskich więźniów politycznych do Auschwitz, gdzie 14 czerwca 1940 roku otrzymał numer 77.

Początkowo został oddelegowany do pracy w grupie kosiarzy. Wraz z kilkoma innymi Polakami zajmował się koszeniem pola, zbieraniem żyta i brukwi. Gdy okres żniw się zakończył, przydzielono go do obozowej stolarni, gdzie pracował przez kolejne kilka miesięcy. W marcu 1941 roku „Teddy” jako pierwszy Polak stoczył zwycięski pojedynek pięściarski z niemieckim kapo. Zwycięstwo zapewniło

Pietrzykowskiemu nie tylko dodatkowe jedzenie, lecz także zmianę pracy na łżejszą – skierowano go do stajni, gdzie odpowiedzialny był między innymi za karmienie cieląt. Od tego momentu „Teddy” regularnie brał udział w walkach bokserskich organizowanych przez nazistów na terenie obozu. Starcia odbywały się co niedzielę w pobliżu łaźni bądź obozowej kuchni. Najczęściej Pietrzykowski miał za przeciwników innych więźniów, rzadziej Niemców. W sumie zwyciężył w blisko czterdziestu walkach, przegrał jedną, stając się nieformalnym, jak sam to określił w grypsie do matki, „mistrzem wszech wag KL Auschwitz”. Wygranym jedzeniem niejednokrotnie dzielił się z innymi, często ratując im w ten sposób życie.

Bokser aktywnie działał również w obozowej konspiracji – był jednym z członków Związku Organizacji Wojskowej założonej przez rotmistrza Witolda Pileckiego. Jedną z najbardziej spektakularnych akcji, w których sportowiec brał udział, był zamach na komendanta obozu Rudolfa Hoessa. Wiosną 1941 roku Hoess wyjechał do Berlina. W tym czasie jego ulubionym koniem miał się zajmować pracujący wówczas w obozowej stajni Pietrzykowski oraz Władysław Rzętkowski. Do ich obowiązków należało między innymi regularne wyprowadzanie wierzchowca, aby nie stał się zbyt nariwisty i nie robił krzywdy właścicielowi. Więźniowie postanowili zignorować polecenie. Gdy nadszedł dzień przyjazdu nazisty, zdecydowali się włożyć pomiędzy derkę a siodło guzik, aby dodatkowo rozdrażnić konia. – *Rzętkowski podprowadził konia Hoessowi, który dosiadł go jak zwykle. Fulvia natychmiast stanęła dęba, odczuwając prawdopodobnie ucisk guzika. Hoess lekceważąco machnął ręką na gwałtowny ruch konia – który popędził do przodu. W pobliżu stali SS-mani i więźniowie, obserwując jazdę Hoessa. Pędzący koń w pewnym*

momencie zmienił kierunek ruchu, zalamal się... i w tumanie kurzu dostrzegłem pędzącą Fulvię bez jeźdźca na grzbiecie – napisał w swej relacji Pietrzykowski. Zamach nie udał się – Hoess przeżył. Z wypadku nie uszedł jednak cały – złamał nogę, co na dłuższy czas uniemożliwiło mu nadzorowanie obozu.



Janusz Kusociński po wygranym biegu przełajowym podczas Mistrzostw Polski w Krakowie, kwiecień 1935 r. FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE (WWW.NAC.GOV.PL)

W 1943 roku Pietrzykowski został przeniesiony do niemieckiego nazistowskiego obozu koncentracyjnego Neuengamme, gdzie przebywał do końca marca 1945 roku. Stoczył tam około dwudziestu walk, a do jego najbardziej imponujących osiągnięć należy pokonanie przedwojennego mistrza świata wagi półciężkiej Schally'ego Hottenbacha. Następnie został ewakuowany do obozu śmierci Bergen-Belsen, gdzie doczekał wyzwolenia przez żołnierzy brytyjskich. Odzyskawszy wolność, niespełna dwa miesiące przed zakończeniem II wojny światowej, wstąpił do 1. Dywizji Pancerniej gen. Stanisława Maczka,

gdzie odpowiadał między innymi za prowadzenie ćwiczeń wojskowych dla żołnierzy.

Fotografia jak przepustka

Maria Kwaśniewska, polska lekkoatletka, na igrzyskach olimpijskich w Berlinie w rzucie oszczepem zdobyła trzecie miejsce. Sportowe zmagania z łoża honorowej obserwował Adolf Hitler. Po ceremonii dekoracji medalami kanclerz III Rzeszy zaprosił zawodniczkę do siebie, by osobiście im pogratulować. „Gratuluję małej Polce i życzę mistrzostwa świata”, powiedział führer, na co Kwaśniewska odpowiedziała po niemiecku: „Wcale nie czuję się mniejsza od pana”. „On miał 1,60 w czapce, a ja 1,66 wzrostu. Więc był ogólny śmiech” – wspominała potem. Prasa niemiecka podawała potem, że Hitler gratulował nie „małej Polce”, a „małej Polsce”. Pamiątką po tym spotkaniu była wspólna fotografia trójki zwyciężskich zawodniczek z Hitlerem. Odbitkę 23-letnia wówczas Maria zabrała do kraju.

Co więcej, występ Marii Kwaśniewskiej znalazł się w kręconym podczas igrzysk paradokumentalnym filmie Leni Riefenstahl. Reprezentantka Polski została także wybrana Miss Igrzysk. Wybuch II wojny światowej zastał ją na południu Europy, gdzie trenowała do kolejnych igrzysk. Choć mogła za granicą przecześć wojenną zawieruchę, zdecydowała się wrócić. Przed wojną ukończyła kurs sanitarny, przeciwlotniczy i samochodowy, więc kiedy bomby spadły na Warszawę skierowano ją do prowadzenia samochodu sanitarki, którym przewoziła rannych żołnierzy. Za tę pełną męstwa postawę Stefan Starzyński, prezydent Warszawy, odznaczył ją Krzyżem Walecznych. Podczas okupacji Maria działała w ruchu oporu. W jej mieszkaniu w Podkowie Leśnej schronienie znalazło wielu głodujących Polaków i Żydów, których Niemcy próbowali schwytać.

Po wybuchu powstania warszawskiego w sierpniu 1944 roku Niemcy założyli w Pruszkowie Dulag 121, czyli obóz przejściowy dla wypędzanych warszawiaków. Przeszło przez niego około 400 tysięcy ludzi. Niemcy dokonali selekcji: młodzi i sprawni kierowani byli do prac przymusowych, a słabi, starsi i chorzy często trafiali do obozów koncentracyjnych.

Kwaśniewska postanowiła ich ratować. Wyjęła z szuflady pamiątkowe zdjęcie z Hitlerem i okazywała go strażnikom jak przepustkę. W ten sposób wyprowadzała na wolność więźniów, najpierw po kilku, a potem osmielona reakcją strażników – grupami.

– Był w tym obozie tzw. barak chorych. Z tego baraku wyprowadzało się ludzi po stu, stu pięćdziesięciu. (...) Pokazywałam przy bramie tę moją fotografię z Hitlerem. Żandarmi traktowali ją jak ausweis. Bili w czapę i przepuszczali mi transport – jak sama opowiadała. Na pewno uratowała kilkaset osób, życie zawdzięcza jej powieściopisarka Ewa Szelburg-Zarembina czy pisarz i felietonista Stanisław Dygat. Po zakończeniu wojny Maria Kwaśniewska na krótko wróciła do sportu, jednak nie odnosiła już sukcesów, jej najlepszy sportowy czas minął. Do końca swojego życia była działaczką sportową wspierającą kolejne pokolenia lekkoatletek.

II wojna światowa wielu sportowcom odebrała nie tylko możliwości dalszego sportowego rozwoju, ale również życie. Ginęli w kampanii wrześniowej i powstaniu warszawskim, umierali w obozach koncentracyjnych jak i podczas egzekucji. Byli również tacy, którzy zostali zamordowani przez NKWD lub ginęli w innych okolicznościach. Jak wyliczył wcześniej cytowany historyk sportu Bogdan Tuszyński w czasie II wojny światowej zginęło aż 59 olimpijczyków, czyli przedwojenny kwiat polskiego sportu. ■



TEKST | Mateusz Wyderka

Od Referatu Filmowego Biura Informacji i Propagandy
Komendy Głównej AK po łódzką Filmówkę

Początki polskiej kinematografii

Kamieniem milowym, mającym niebagatelny wpływ na rozwój nie tylko polskiej kinematografii, był skonstruowany pod koniec XIX w. przez Kazimierza Prószyńskiego pleograf, czyli aparat, za pomocą którego można było kręcić i wyświetlać filmy.

– *Prawdopodobnie był to pierwszy na świecie projektor filmowy. Dopiero rok później bracia Lumiere opatentowali swój kinematograf* – podkreślił filmoznawca Stanisław Janicki.

Trzy lata później Prószyński udoskonalił swój wynalazek tworząc biopleograf, następnie obturator, kinofon, aż w końcu w 1908 roku skonstruował aeroskop – pierwszą ręczną kamerę filmową o napędzie automatycznym. To właśnie jej zawdzięczamy m.in. oryginalne lotnicze zdjęcia z pierwszej wojny światowej. W 1901 roku wynalazca założył pierwszą polską wytwórnię filmową – Towarzystwo Udziałowe Pleograf. Rok później powstał film „Powrót Birbanta” z Kazimierzem Junoszą-Stę-

powskim – późniejszą gwiazdą polskiego kina międzywojennego. – *Historycy kina dzielą się na dwa obozy – jedni uważają, że pierwszym polskim filmem był „Antoś...”, inni, i ja do nich należę, że „Powrót Birbanta” Kazimierza Prószyńskiego z 1902 roku. Film ten był fabularną opowieścią, występowali w nim zawodowi aktorzy, a nie tak jak u braci Lumiere zwykli ludzie* – zauważył Janicki. Szybko zorientowano się jak wielkie możliwości społecznego oddziaływania niesie ze sobą kinematografia. Powsta-

wały nowe filmy, kina i wytwórnie – w 1908 roku założono wytwórnię filmową „Sfinks” – jedną z najprężniej działających i najsłynniejszych w międzywojniu. Z czasem zaczęto także myśleć o utworzeniu pierwszej polskiej szkoły filmowej. Lata mijały, a pomysł wciąż nie mógł doczekać się realizacji. W 1932 roku w Warszawie powołany został Państwowy Instytut Sztuki Teatralnej. Jeden z wydziałów zajmować się miał sztuką filmową. Ostatecznie nigdy jednak nie powstał.

W 1939 roku Prezydium Rady Naczelnej Przemysłu Filmowego powołało Komisję ds. Szkolenia Filmowego. Jej celem było utworzenie Instytutu Filmowego, a wśród wykładowców znaleźć się mieli m.in. Jerzy Toeplitz, Jerzy Bossak oraz Eugeniusz Cękalski. Początek zajęć planowano na 1 września 1939 roku. Jak się jednak okazało, tego dnia hitlerowskie Niemcy dokonały zbrojnej agresji na Polskę. Skutkowało to niemal całkowitym zamarciem polskiej kinematografii. – *W przeciwieństwie do wielu innych krajów europejskich – od Francji po Związek Radziecki, gdzie w czasie wojny, mimo ogromnych trudnień, produkowano filmy i toczyło się wcale bogate życie filmowe – nie sposób mówić o kinematografii polskiej w czasie II wojny światowej –* ocenił w „Historii kina polskiego” prof. Tadeusz Lubelski.

Dokumentacja zbrodni

Polskie Państwo Podziemne i organizowany przez nie ruch oporu nie zapomniały jednak o możliwościach i szansach, jakie daje kamera. – *Do jednego z głównych zadań polskiego ruchu oporu w latach okupacji niemieckiej należało umacnianie w społeczeństwie woli przetrwania (...). Obowiązkiem było informować społeczeństwo i opinie świata o zbrodniach dokonywanych w Polsce przez hitlerowców. Motorem tych poczynań było przeświadczenie o konieczności dokumentowania wydarzeń zachodzących w kraju –* pisał historyk filmu Władysław Jewsiewicki. W tym celu w 1942 roku w Biurze Informacji i Propagandy Komendy Głównej Armii Krajowej utworzono Referat Filmowy, organizacją którego zajął się reżyser Antoni Bohdziewicz ps. Wiktor. Jego zastępcą został Jerzy Zarzycki ps. Pik.

Rok wcześniej podobna inicjatywa miała miejsce w armii organizowanej w ZSRR, gdzie przy Oddziale Kultury i Prasy Drugiego Korpusu Armii Pol-

skiej utworzono Referat Fotograficzno-Filmowy. Wśród tworzących go artystów byli m.in. reżyserzy Michał Waszyński i Konrad Tom oraz operatorzy Stanisław Lipiński i Seweryn Steinwurcel. Jednym z efektów ich pracy, był wyreżyserowany przez Waszyńskiego film „Wielka droga” (1946). Obraz opowiada o wojennych losach armii gen. Andersa.

Do głównych celów organizowanego w kraju Referatu należało gromadzenie sprzętu i taśmy filmowej. Niezwykle ważne było również kształcenie odpowiednich kadr. Z myślą o tym zorganizowano sześciomiesięczny kurs, który ruszył jesienią 1943 roku. Nad wszystkim czuwał Antoni Bohdziewicz.

Zajęcia odbywały się w systemie seminaryjnym. Podczas prowadzonych w konspiracji wykładów poznawano m.in. konstrukcję kamery, dramaturgię filmową i teatralną, opracowywano scenariusze etiud oraz zgłębiano podstawowe zagadnienia z zakresu fotografii, reżyserii i montażu. Filmowcom doskwierały jednak braki sprzętowe. Profesjonalne kamery już od samego początku okupacji należało bowiem rejestrować, co doprowadzało do późniejszych konfiskat. Filmowcom udało się pozyskać szesnastomilimetrową kamerę Kodaka, którą sprowadzono aż z Londynu. Nie lada trudność stanowiło również zdobycie taśmy.

– *Kupujemy taśmę kradzioną od Niemców, kupujemy ręczne kamery – sprężynówki, coś tam dostajemy ze zrzutów (...). Robimy trochę zdjęć z łapanek, z dobrze ukrytych okien wychodzących na placyk z pomnikiem Kopernika –* wspominał Bohdziewicz, cytowany w książce Stanisława Ozimka „Media Walczącej Warszawy”.

Filmowcy na barykadach

Na krótko przed wybuchem powstania w Warszawie AK miała już 20 przeszkolonych operatorów i dziewięć

kamer. Kiedy 1 sierpnia 1944 roku wybuchły walki na barykadach pojawiły się także kamery. – *W ogniu pracuje wielu Polowych Sprawozdawców Wojennych (PSW): dziennikarze, fotografowie, filmowcy. Biorą oni także z bronią w rękę udział w walce –* donosił Biuletyn Informacyjny nr 40 z 4 sierpnia 1944 roku. Dowodzona przez Bohdziewicza sekcja filmowa była w stanie pogotowia już od 27 lipca. W pierwszych dniach walk Polakom udało się przejąć ściągnięte przez Niemców do dokumentowania walk materiały światłoczułe. Powstańcy zajęli profesjonalne laboratorium filmowe przy ul. Leszczyńskiej 6. Przed wojną mieściło się w nim laboratorium Studia Falanga. Baza filmowców mieściła się przy ul. Szpitalnej. Korzystano z prywatnego mieszkania Bohdziewicza oraz zlokalizowanej do dzisiaj w tym samym miejscu kawiarni Wedla.

Już w pierwszym tygodniu walk powstała pierwsza kronika filmowa. Trwający około 12 minut materiał zatytułowany „Warszawa Walczy!” zaprezentowano w śródmiejskim kinie Palladium. 13 sierpnia odbył się pokaz dla prasy, dwa dni później szansę na zapoznanie się z nim dostała szersza publiczność. – *Nastrój na pokazie 15 sierpnia był wyjątkowo uroczysty, podniosły, wszystkie miejsca zajęte. Mnóstwo widzów stało lub przycupnęło w przejściach (...). Sala pomieściła prawie dwa tysiące widzów –* pisał Ozimek.

Z tych bezcennych materiałów 70 lat później powstanie polski kandydat do Oscara, wyprodukowany przez Muzeum Powstania Warszawskiego, film dokumentalny „Powstanie Warszawskie”. W 2013 roku w położonym obok muzeum Parku Wolności odsłonięto pomnik poświęcony powstańcom filmowcom. – *W czasie okupacji w Biurze Informacji i Propagandy Komendy Głównej AK powstała komórka filmowa. Na czas po-*

wstania byli przygotowani specjaliści, którzy mieli je udokumentować. Było wśród nich dziewięciu operatorów, pracujących pod kierunkiem reżysera Antoniego Bohdziewicza i operatora Jerzego Zarzyckiego. Filmowcy w najbardziej dramatycznych, niebezpiecznych warunkach dokumentowali to, co się działo codziennie w powstańczej Warszawie. Nie tylko walki, ale również zwyczajne życie – powiedziała podczas odsłonięcia pomnika, wiceprezes Związku Powstańców Warszawskich Halina Jędrzejewska.

Po zakończeniu działań wojennych powrócono do pomysłu utworzenia szkoły filmowej. Wiosną 1945 roku Antoni Bohdziewicz i Stanisław Wohl zorganizowali w Krakowie Warsztaty Filmowe Młodych. – To była taka jakby „prafilmówka”, w której Bohdziewicz prowadził zajęcia z reżyserii, a także robił próby warsztatowe i praktyczne – opowiadał na antenie Polskiego Radia reżyser Andrzej Zakrzewski. Siedziba kursu mieściła się przy ul. Józefitów 16. W jego skład wchodziły pracownie: realizatorska, operatorska, dramaturgiczna, muzyczna i naukowa. Warsztaty przetrwały jednak zaledwie kilka miesięcy. – Zespół warsztatów przyciągał do współpracy nie tylko atmosferą swobody intelektualnej, ale także bardziej prozaicznymi udogodnieniami, a do bywalców Warsztatowych zaliczali się między innymi Julian Przyboś, Kazimierz Wyka, Czesław Miłosz, Wilhelm Mach, Tadeusz Breza, Jerzy Andrzejewski (dwaj ostatni zaczęli niebawem pisać scenariusz do *Robinsona Warszawskiego*) – z kręgu literatury; Roman Palester, Andrzej Panufnik i Stefan Kisielewski – czytamy w artykule Małgorzaty Radkiewicz „Krakowska Prafilmówka 1945–1946”.

Z Krakowa do Łodzi

W listopadzie 1945 roku utworzono w ich miejsce Kurs Przeszkolenia Filmowego. Za program odpowiadał po-

wołany na stanowisko dyrektora Stanisław Furmaniak. Wśród uczestników byli m.in. Wojciech Jerzy Has, Jerzy Kawalerowicz, Mieczysław Jahoda czy Jerzy Passendorfer. Organizacją zajął się Instytut Filmowy, będący wydziałem Przedsiębiorstwa Państwowego „Film Polski”. W 1946 roku kurs przeniesiono do Łodzi, już jako Wyższe Studium Filmowe. Warto zaznaczyć, że Łódź w tamtym czasie przeżywała prawdziwy najazd. Szczególnie dużo osób przyjechało do niej ze zniszczonej Warszawy.

– W międzyczasie wybuchła rywalizacja i wielka dyskusja wewnętrzna, gdzie ma być tymczasowa stolica filmu polskiego: w Łodzi czy w Krakowie. (...) Przedwojenną stolicą przemysłu filmowego była Warszawa. Tam ci wysoko wykwalifikowani specjaliści pracowali, mieli rodziny, mieszka-

Filmowcy w najbardziej niebezpiecznych warunkach dokumentowali to, co się działo codziennie w powstańczej Warszawie

nia. Po wojnie stali się bezdomnymi tułaczami. Przeludniony przesiedleńcami i uchodźcami Kraków nie mógł im zapewnić odpowiednich warunków – opowiadał producent filmowy i wieloletni wykładowca prof. Edward Zajcew. W styczniu 1945 roku w Łodzi ulokował się założony dwa lata wcześniej w Sielcach nad Oką Teatr Wojska Polskiego. Z wojskowym teatrem związanych było wielu znakomitych artystów jak Andrzej Łapicki, Jan Kreczmar, Aleksander Zelwerowicz, Juliusz Osterwa czy Leon Schiller.

Po roku studium zostało Wydziałem Filmowym Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w Łodzi.

Jego kierownikiem został Marian Wimmer – twórca szkolenia operatorów filmowych i scenografów. Wimmer był architektem, absolwentem Politechniki Lwowskiej. W latach 1953–1956 wykładał w łódzkiej szkole na Wydziale Reżyserskim. – *Podchodził do sztuki jak do rzemiosła i uważał, że student jest materiałem, który powinien być wychowany w artystycznej wszechwiedzy. Z tego też powodu musi być przeszkolony w każdej dziedzinie związanej z filmem, specjalizację natomiast może wybrać dopiero w późniejszych latach nauki* – tłumaczył filmoznawca i badacz historii Łódzkiej Szkoły Filmowej, Waldemar Ludwisiak.

Wydział prowadził zajęcia na dwóch kierunkach – operatora filmowego i scenografii. Zlikwidowano go w 1948 roku. Powodem było utworzenie w Pałacu Oskara Kona przy ul. Targowej 61/63 w Łodzi Wyższej Szkoły Filmowej, do której przeniesiono studentów zlikwidowanego wydziału.

W ten sposób powstała w Polsce długo wyczekiwana szkoła filmowa z prawdziwego zdarzenia. Pierwszym jej dyrektorem został Marian Wimmer. Wśród pedagogów znaleźli się m.in. Antoni Bohdziewicz, Jerzy Bossak, Wanda Jakubowska i Stanisław Wohl. Wśród pierwszych studentów zaś wybitni polscy artyści jak Andrzej Wajda, Janusz Morgenstern, Andrzej Munk, Kazimierz Kutz, Jerzy Wójcik i Witold Sobociński. Z czasem łódzka uczelnia zdobyła rozpoznawalność w świecie filmowym, stając się jedną z najlepszych szkół filmowych na świecie.

8 stycznia 1947 roku w warszawskim kinie „Palladium” – tym samym, gdzie dwa i pół roku wcześniej wyświetlano powstańcze kroniki – odbyła się uroczysta premiera „Zakazanych piosenek” w reż. Leonarda Buczkowskiego. Obraz z Danutą Szaflarską i Jerzym Duszyńskim w rolach głównych uznaje się za pierwszy powojenny polski film fabularny. ■



TEKST | Grzegorz Majchrzak

Jak „Solidarność” walczyła o pluralizm w mediach

Przez dekady media, w tym Polskie Radio i Telewizja Polska, pozostawały pod pełną kontrolą Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Były również jej tubą propagandową. Nic zatem dziwnego, że kiedy nadeszło gorące lato 1980 roku protesty robotnicze długo starano się przemilczeć, potem zaś – kiedy okazało się to niemożliwe – mówiono o lokalnych „przerwach w pracy”. Do czasu...

Wiele zmieniły porozumienia sierpniowe, zwłaszcza to gdańskie, w którym znalazł się zapis: *Działalność radia i telewizji oraz prasy i wydawnictw winna służyć wyrażaniu różnorodności myśli, poglądów i sądów. Powinna ona podlegać społecznej kontroli.* Wynikało to z faktu, że peerelowskie władze zdecydowały się na szereg ustępstw wobec strajkujących robotników, w tym również dotyczących kwestii medialnych.

Kolejne zmiany – nie bez zdecydowanego oporu rządzących – wymusiła utworzona we wrześniu 1980 roku NSZZ „Solidarność”. Najbardziej widocznym symbolem utraty przez komunistów monopolu informacyjnego było wydawanie – od kwietnia 1981 roku – ogólnopolskiego „Tygodnika Solidarność”. Ukazywał się on w nakładzie 500 tys., a w czasie I Krajowego Zjazdu Delegatów NSZZ „Solidarność” (wrzesień – październik tego roku) nawet miliona egzemplarzy.

Podlegał on – złagodzonej zresztą w „solidarnościowym karnawale” – cenzurze (m.in. można było zaznaczać jej ingerencje). Tygodnik ten nie był jedynym tytułem wydawanym przez związek i podlegającym tzw. debiutowi. Nie był też pierwszym pismem związku wydawanym oficjalnie – od stycznia 1981 roku ukazywał się ponadregionalny – choć głównie szczeciński – tygodnik „Jedność”. W przypadku tradycyjnych, papierowych mediów ten pluralizm między wrze-

śnieniem 1980 roku a grudniem 1981 roku był zdecydowanie większy.

„Solidarność” i inne powstające w tym czasie niezależne organizacje (np. Niezależne Zrzeszenie Studentów) dysponowały własną prasą. Mało tego, część z niej – z zaznaczeniem „do użytku wewnętrznego” – wychodziła poza zasięgiem cenzury. Tak się działo np. w przypadku prasy zakładowej, wydawanej zresztą przez „Solidarność” na dużą skalę. To nie wszystko – w styczniu 1981 roku powstała Agencja Prasowa „Solidarności”, która m.in. wydawała ogólnopolski „AS. Biuletyn Pism Związkowych i Zakładowych”.

Trzy miesiące później Krajowa Komisja Porozumiewawcza NSZZ „Solidarność” powołała dla tej agencji – pozostającej pod wpływem osób związanych z Komitetem Obrony Robotników – „konkurencję” w postaci Biura Informacji Prasowej NSZZ „Solidarność”. Związek miał też swoje rubryki w niektórych oficjalnie wydawanych pismach (np. „Samorządność”, która stanowiła autonomiczny dodatek do „Dziennika Bałtyckiego”), a część dziennikarzy prasowych można powiedzieć, że wręcz „wybiła się na niepodległość”. W efekcie w prasie peerelowskie władze utraciły monopol informacyjny.

Ta utrata monopolu informacyjnego nie była jednak pełna – rządzącym zostały media elektroniczne, na czele z najważniejszym wówczas medium propagandowym, którym była Telewizja Polska. Choć trzeba przyznać, że również Polskie Radio i – w mniejszym stopniu – TVP dotknęła „solidarnościowa zaraza”. I to mimo że jeszcze w sierpniu 1980 roku na „ten odcinek”, czyli na szefa Komitetu ds. Radia i Telewizji, „rzucano” Józefa Bardeckiego (oddelegowanego tam z „Trybuny Ludu”, czyli organu Komitetu Centralnego PZPR). W lipcu 1981 roku z kolei rządy w tej instytucji objął Władysław Loranc, przez wielu uwa-

żany za symbol najbardziej dogmatycznego partyjnego betonu.

Cel tych rozsad na początku września 1981 roku otwarcie przedstawił (informując członków Prezydium Komitetu ds. Radia i Telewizji o powołaniu nowych zastępców przewodniczącego – Andrzeja Kurza i Stanisława Celichowskiego, zresztą byłego cenzora) Stefan Olszowski (członek Biura Politycznego i sekretarz KC PZPR). Stwierdził on, że „głównym zadaniem stojącym przed kierownictwem Komitetu jest utrzymanie radia i telewizji w rękach partii i rządu”. Nic zatem dziwnego, że w programach informacyjnych, czy też w publicystyce nadal bezczelnie manipulowano faktami (m.in. wyrywając zdania z kontekstu), a na antenie pojawiały się teksty,

Kwestia dostępu „Solidarności” do środków masowego przekazu niemalże natychmiast stała się jednym z głównych punktów zapalnych w stosunkach między związkiem, a peerelowskimi władzami

które pochodziły z innych niż dziennikarskie źródła...

Podobnie jak w poprzednich latach partia opracowywała szczegółowe wytyczne dla mediów. Stosunkowo szybko postanowiono np. zastąpić propagandę sukcesu epoki gierkowskiej tzw. propagandą klęski – dziennikarzem nakazywano przygotowywanie materiałów na temat konfliktów i problemów będących wynikiem działalności „Solidarności”, podgrzewanie atmosfery zagrożenia, głoszenie tezy

o atmosferze niepewności i niestabilności, czy wręcz o anarchii w kraju. Było to tym łatwiejsze, że wciąż funkcjonowała cenzura zdejmująca z anteny (i łam prasowych) niewygodne dla władz programy czy teksty. W efekcie „Solidarność” była owszem obecna w Polskim Radiu i Telewizji Polskiej, ale na zasadach narzuconych przez peerelowskie władze.

Jak później pracownicy wyliczono w Komitecie ds. Radia i Telewizji np. w okresie od lutego do sierpnia 1981 roku sprawy związku pojawiły się na antenie PR ponad 500 razy. Głównie była to jednak antyzwiązkowa propaganda w programach informacyjnych i publicystycznych.

Wspomniana tendencyjność przekazu prowadziła zresztą do konfliktów pomiędzy decydentami w radiu i telewizji, a pracownikami tych instytucji. Szybko stroną w tych konfliktach stała się Krajowa Komisja Koordynacyjna NSZZ „Solidarność” Pracowników Radia i Telewizji, która została utworzona 25 października 1980 roku. W swojej pierwszej uchwale zapowiedziała ona kierowanie się w prowadzonych działaniach zasadą „by radio i telewizja były autentycznymi wyrazicielami całej opinii publicznej, a nie tylko poglądów partii politycznych i rządu”.

Wobec tendencyjności informacji na temat związku – w lutym 1981 roku – „Solidarność” Pracowników Radia i Telewizji powołała nawet do życia komisję programową, której zadaniem było rejestrowanie przypadków nierzetelności i manipulacji oraz dokumentacja audycji niedopuszczonych na antenę lub z ingerencjami cenzury. Zresztą kwestia dostępu „Solidarności” do środków masowego przekazu niemalże natychmiast stała się jednym z głównych punktów zapalnych w stosunkach między związkiem a peerelowskimi władzami. Była ona również jedną z podstawowych przyczyn akcji protestacyjnych orga-

nizowanych przez związek (najgłośniejszą z nich były „dni bez prasy” w sierpniu 1981 roku) oraz jednym z głównych tematów rozmów „Solidarności” z władzami.

Związek domagał się m.in. czasu antenowego, kontroli społecznej Komitetu ds. Radia i Telewizji, stworzenia niezależnej redakcji związkowej w radiu i telewizji (zarówno w centrali, jak też w ośrodkach terenowych). Postulatów tych absolutnie nie mogły i nie chciały przyjąć władze. Decydowano się czasem na pewne ustępstwa na rzecz związku – na władzach została wymuszona nieznaczna liberalizacja działalności radia i telewizji. Podjęte zostały tematy, które przez wiele lat stanowiły tabu. Dzięki temu na antenie Polskiego Radia znalazł się m.in. po 10 latach reportaży Krystyny Melion „Legitymacja partyjna” (inny reportaż tej samej autorki „Radom 1976” na emisję musiał czekać jednak do 1990 roku), a radiowej trójce udało się wyemitować sporo reportaży z okresu „Solidarności”.

Nie było jednak oczywiście mowy o zasadniczej zmianie polityki informacyjnej, traktowanej przez władze, jako element propagandy. W przypadku wielu ustępstw władze z nich się po prostu wycofywały lub też ich po prostu nie realizowały, np. dzięki korzystnej dla władz interpretacji ustaleń ze związkiem. W takiej atmosferze Krajowa Komisja Koordynacyjna NSZZ „Solidarność” Pracowników Radia i Telewizji oraz Krajowa Komisja Koordynacyjna Pracowników Stacji Radiowych i Telewizyjnych powołały na początku sierpnia 1981 roku Zespół ds. Reformy Strukturalnej i Statutowej Polskiego Radia i Telewizji (miał on opracować wstępny społeczny projekt statutu Komitetu ds. Radia i Telewizji). Miesiąc później KKK NSZZ „Solidarność” Pracowników Radia i Telewizji wystosowała m.in. list otwarty do Sejmu PRL, w którym zwrócono się o rozpatrzenie w trybie

napłym, podczas najbliższej wrześniowej sesji plenarnej „spraw roli i miejsca radia i telewizji w naszym kraju” (m.in. chodziło o ocenę zgodności działalności obu instytucji z Konstytucją PRL i porozumieniami sierpniowymi).

Wystosowano również list otwarty do społeczeństwa. Skrytykowano w nim nasilającą się w ostatnich miesiącach w środkach masowego przekazu, a szczególnie w telewizji, kampanię propagandową skierowaną prze-

Polskiej. Wsparło ją również wielu „zbuntowanych” pracowników tych mediów. Już w listopadzie 1980 roku ponad 400 dziennikarzy PR i TVP – niemal jednogłośnie przyjęło – rezolucję, w której krytyce poddano m.in. blokadę informacyjną czy „niepełne przedstawianie faktów”. Jej autorzy domagali się możliwości podawania szybkiej i pełnej informacji o wydarzeniach oraz stosowania zasady odpowiedzialności personalnej wobec osób dopuszczających się manipulacji

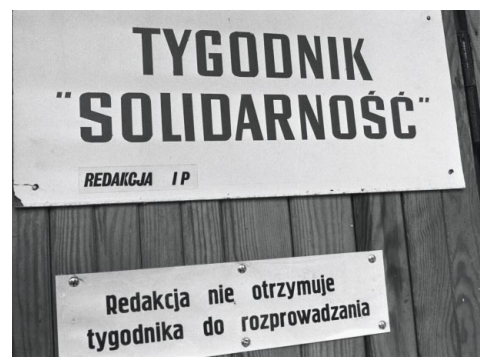


ciwko „Solidarności”. Przypomniano w nim także, że „próby przeciwdziałania kłamliwej propagandzie i uwiarygodnienia środków społecznego komunikowania (a zwłaszcza w radiu i telewizji), podejmowane przez różne środowiska spotykają się ze zdecydowanym oporem władz”.

5–6 grudnia odbyła się I Krajowa Konferencja „Solidarności” Radia i Telewizji. Omawiano podczas niej kwestię uspołecznienia radia i telewizji oraz wstępną propozycję projektu ustawy o Towarzystwie „Polskie Radio i Telewizja”. W projekcie zakładano, że instytucja ta otrzyma status instytucji wyższej użyteczności publicznej, zostanie zdecentralizowana oraz poddana kontroli Sejmu.

Nie tylko „Solidarność” walczyła o zmiany w Polskim Radiu i Telewizji

faktami. Kilka miesięcy później głos w tej sprawie zabrała nawet podstawowa organizacja partyjna w Komitecie ds. Radia i Telewizji... W uchwale z 23 maja 1981 roku skrytykowano dotychczasową praktykę „polegającą na ingerencji aparatu partyjnego nie tylko w dobór i treść, ale nawet w sposób eksponowania publikacji”. Upomniano się też o swobodny obieg opinii, poglądów i informacji, domagano się poddania działalności radia i telewizji kontroli Sejmu oraz uczynienia z me-



diów „forum dyskusyjnego ścierania się poglądów dotyczących problemów szczególnie ważnych w życiu społecznym”.

Z kolei 10 sierpnia 1981 roku Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich wydało oświadczenie w sprawie kampanii dezinformacyjnej prowadzonej przez środki masowego przekazu. Dzień później grono 60 dziennikarzy Polskiego Radia zdecydowało się na wystosowanie listu otwartego do słuchaczy, w którym stwierdzali m.in.: *Program radia powrócił do stylu przed-sierpniowego (...) Za naszymi plecami w nagrane audycje wmontowywane są komentarze, na których publikację nigdy byśmy się nie zgodzili, pozbawia nas się prawa do publikowania stanowiska wszystkich stron, nakazuje umieszczać komentarze, które – naszym zdaniem – nie służą społeczeństwu, usuwa informacje prawdziwe.*

Dwa miesiące później list otwarty do Sejmu PRL skierowała Komisja Porozumiewawcza Organizacji Społecznych i Politycznych w Komitecie ds. Radia i Telewizji. Jego sygnatariusze wyrażali zaniepokojenie „niezgodną z Konstytucją PRL i niebezpieczną społecznie działalnością programową Polskiego Radia i Telewizji”, podkreślali swój brak wpływu na funkcjonowanie Komitetu ds. Radia i Telewizji, domagali się rozpatrzenia sytuacji w swej instytucji przez odpowiednią komisję sejmową, a także postulowali rozpoczęcie przez parlament prac nad nową ustawą regulującą status radiofonii i telewizji w PRL. 25 listopada 1981 roku doszło do spotkania między grupą posłów, a przedstawicielami KPOSIP w Komitecie ds. Radia i Telewizji (bez udziału reprezentantów PZPR, Związku Socjalistycznej Młodzieży Polskiej oraz Związku Bojowników o Wolność i Demokrację). W jego trakcie zaapelowano do parlamentarzystów o pilne uchwalenie nowych przepisów prawnych w celu bardziej demokratycznego zarządza-

nia mediami. Uzyskano nawet od nich obietnicę zajęcia się tą kwestią w najbliższym czasie przez komisję sejmową. Ponadto – w połowie grudnia – do Sejmu miał trafić społeczny projekt ustawy regulującej działalność Komitetu ds. Radia i Telewizji. Realizację tej ostatniej obietnicy pokrzyżowało wprowadzenie stanu wojennego.

NSZZ „Solidarność” w przypadku mediów elektronicznych (zarówno Polskiego Radia, jak i Telewizji Polskiej) nie ograniczała się do walki o pluralizm w nich, ale również tworzyła załóżki własnych mediów (głównie radiowych). Solidarnościowe radio – pod różnymi zresztą nazwami – funkcjonowało w kilku ośrodkach (Gdańsk – radiowe agencje „Solidarność”, Warszawa – Radio „Solidarność” Regionu Mazowsze Redakcja Programów dla Radiowęzłów Zakładowych, Wrocław – Sekcja Radiowa NSZZ „Solidarność” Region Dolny Śląsk), na których potrzeby przygotowywano audycje na kasetach. Ponadto stołeczne radio, które działało zresztą za wiedzą kolegów i cichą akceptacją przełożonych w siedzibie Polskiego Radia, dokładniej jego Programu III przy ulicy Myśliwieckiej – wbrew swojej nazwie – miało charakter ponadregionalny, rejestrowało m.in. obrady władz związku (KKP, I KZD czy Komisji Krajowej). W trakcie zjazdu zresztą powstał Komitet Radia „Solidarność”, złożony z przedstawicieli gdańskich, warszawskich i wrocławskich radiowców.

Z kolei 10 listopada 1981 roku powołano władze Krajowego Komitetu Organizacyjnego ogólnokrajowego Radia „Solidarność”. Komitet ten miał (we współpracy z KK) udzielać pomocy technicznej i merytorycznej działającym i powstającym redakcjom, przygotowującym programy dla radiowęzłów zakładowych. Głównymi jego ośrodkami miały się stać Gdańsk, Warszawa i Wrocław, natomiast w każdym regionie związku planowano utworzenie niezależnej komórki

redakcyjnej, która miała przygotowywać programy według własnego, autorskiego pomysłu. Z kolei zbiorczy, tygodniowy serwis miał powstawać w stolicy i być przeznaczony dla całego kraju. Projektu sieci radiowej nie udało się niestety zrealizować ze względu na wprowadzenie stanu wojennego. Podobnie nie udało się stworzyć własnej solidarnościowej telewizji, do czego przymierzano się w ramach Biura Informacji Prasowej NSZZ „Solidarność”, które prowadziło działalność radiowo-telewizyjną. Jego dziennikarzom – dzięki sprzętowi przyslanemu przez Międzynarodową Konfederację Wolnych Związków Zawodowych – udało się utworzyć Telewizyjną Agencję „Solidarność” (zwaną też Telewizją BIPS). Dokumentowała ona przede wszystkim posiedzenia władz naczelnych związku, publiczne wystąpienia Lecha Wałęsy, a także rozmaite przejawy rodzącego się, niezależnego życia społecznego. Jej pierwszym zrealizowanym samodzielnie filmem był „Kandydat” opowiadający kulisty wyboru Lecha Wałęsy na przewodniczącego Komisji Krajowej w czasie I Krajowego Zjazdu Delegatów NSZZ „Solidarność” w październiku 1981 roku. Ostatnim nakręconym przez jej ekipę materiałem były obrady KK w dniach 11–12 grudnia 1981 roku w historycznej sali BHP Stoczni Gdańskiej.

Stan wojenny przerwał walkę o pluralizm mediów, choć w podziemiu funkcjonowała nie tylko prasa, ale także radio i telewizja. Z drugiej strony wiele osób w nią zaangażowanych przed 13 grudnia 1981 roku poniosło – w wyniku tzw. weryfikacji, będącej brutalnymi czystkami politycznymi – konsekwencje, często tracąc pracę i nie mając latami szans na powrót do zawodu. Ale tu już całkiem inna, nie mniej ciekawa historia... ■

dr Grzegorz Majchrzak jest pracownikiem Biura Badań Historycznych IPN



14 lutego Narodowym Dniem Pamięci Żołnierzy Armii Krajowej

Ustawa o ustanowieniu 14 lutego Narodowym Dniem Pamięci Żołnierzy Armii Krajowej zgłoszona przez posłów Koalicji Obywatelskiej w porozumieniu z Urzędem do Spraw Kombatanów i Osób Represjonowanych oraz Światowym Związkiem Żołnierzy Armii Krajowej została przyjęta przez Sejm i Senat Rzeczypospolitej Polskiej. Dzięki tej ustawie będziemy mieli wreszcie święto tej największej organizacji Polskiego Państwa Podziemnego.

„W hołdzie żołnierzom Armii Krajowej – największej konspiracyjnej armii w podbitej przez Niemcy i Rosję Europie, armii, która jako zbrojne ramię Polskiego Państwa Podziemnego prowadziła bohaterką walkę o odzyskanie przez Rzeczpospolitą Polską suwerenności i niepodległości, a której żołnierze po II wojnie światowej byli prześladowani przez władze komunistyczne zależne od Związku Sowieckiego” – napisano w preambule ustawy.

Program obchodów 83. rocznicy przemianowania ZWZ w AK 14 lutego 2025 r.

- godz. 9.30 – Katedra Polowa Wojska Polskiego (ul. Długa 13/15) – Msza św. w intencji poległych, zmarłych i żyjących żołnierzy Armii Krajowej,
- godz. 11.15 – pomnik gen. Stefana Roweckiego ps. Grot (ul. Chopina) – ceremonia złożenia wieńców i wiązanek kwiatów,
- godz. 12.00 – pomnik Polskiego Państwa Podziemnego i Armii Krajowej (ul. Matejki) – apel pamięci połączony ze wspólną modlitwą i ceremonią złożenia wieńców i wiązanek kwiatów,
- godz. 14.30 – Sala Kolumnowa w Sejmie RP (ul. Wiejska 6) – debata naukowa „Armia Krajowa – spojrzenie z perspektywy 80 lat” przygotowana przez Muzeum II Wojny Światowej.

Ze względu na ograniczoną liczbę miejsc chętnych do udziału w debacie prosimy o kontakt z koordynatorem projektu ([magdalena.sawka@kombatanci.gov.pl](mailto:magdalenasawka@kombatanci.gov.pl)) w terminie do 5 lutego 2025 r.

